

NA ZDJĘCIU:
Od lewej — Jan
Wojtkiewicz, Euge-
niusz Gosiewski, Jan
Pasich, Witold Powi-
chrowski, Jan Kall-
nowski, Waldemar
Brzeziński.



magazyn

Gazeta Współczesna

DZIENNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Nr 130 (10 210) Białystok — Łomża — Suwałki, piątek, 1.VI.1984 r. Nakład: 200.000 Cena 5 zł Ciąg dalszy na str. 2



Zastępca
członka
KC KPZR,
I sekretarz
Komitetu
Obwodowego
KPZR
w Grodnie
deputowany
do Rady
Najwyższej
ZSRR,
Bohater
Pracy
Socjalis-
tycznej
— Leonid
Gierasimowicz
Kleckow.
Fot.
ZDZISŁAW
LENKIEWICZ

O pożytkach płynących z pokoju i pracy

Rozmowa z I sekretarzem Komitetu Obwodowego Komunistycznej Partii Białorusi w Grodnie — Towarzystwem LEONIDEM GIERASIMOWICZEM KLEKOWEM.

„GW”: — Towarzyszu Sekretarzu! Jesteście działaczem partyjnym i państwowym o bogatej metryce życiowej. Jakże, Waszym zdaniem, najważniejsze jest obecnie zadanie partii komunistycznej w Związku Radzieckim, w Polsce, innych krajach socjalistycznych oraz wszystkich sił postępowych na świecie? Czy możemy przyjąć, że walka o pokój jest najważniejszą powinnością partii komunistycznych jako rzeczników wszystkich ludzi pracy?

L.G. Klekow: — Zaczniemy od przypomnienia prawdy podstawowej: głównym zadaniem wszystkich partii komunistycznych w tej chwili — komunistów Związku Radzieckiego, Polski i innych krajów socjalistycznych — jest zbudowanie ustroju komunistycznego. My, w Związku Radzieckim rozpoczeliśmy na przykład już budowę rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Jesteśmy jednak na początku długiej drogi. Oznacza to, że wiele jest jeszcze pracy przed na-

Wiedomości dnia

TODOR ŻIWKOW W MOSKWIE

* MOSKWA — W czwartek przybył do Moskwy z krótką wizytą przyjaciel sekretarza generalnego KC BPK, przewodniczący Rady Państwa LRB To-

Jutro w Łodzi XVI Plenum KC PZPR Robotnicy o sobie i sprawach kraju

Bez pozorów i uproszczeń

Na pewno truizmem jest konstatacja, iż robotnicza partia musi w swym kształcie, strukturze, sposobie działania, mieć robotniczy charakter i wyrażać jak najpełniej klasowy interes robotnika. Dlatego jednak słusze to hasło tak często — i wciąż nie bezdyskusyjnie — wyklądane jest w publiczności, obecne w partyjnych dyskusjach, rozkładane na czynniki pierwsze? Dlatego o specjalnych obowiązkach partii wobec reprezentowanej przez siebie klasy mówi się tak wiele podczas wydarzeń politycznych tej rangi, co łódzkie „robotnicze” Plenum Komitetu Centralnego?

Sądze, że dzieje się dlatego z dwóch zasadniczych powodów. Po pierwsze — poważnym błędem partii w przeszłości było zaniedbanie swych obowiązków rzecznika interesów klasy robotniczej i wyrażiciela jej historycznych aspiracji i dążeń. To także jest dziś oczywiste, ale w tym miejscu warto chyba przypomnieć, iż zasięg, gwałtowność i determinacja robotniczych protestów sierpnia 1980 roku brały się nie stąd — a dokładnie: nie tylko stąd — że zbliżająca się do kryzysu gospodarka gnębiła społeczeństwo kłopotami dnia powszedniego. Gdyby ten protest miał charakter przede wszystkim ekonomiczny, zakończyłby go mogły przywiezione w łecze banknoty i parę innych posunięć rewindykacyjnych. Ale sprawa była — o czym wiemy — głębsza: robotnicy przypominali, że podstawowym mierni-

ciąg dalszy na str. 2

INFORMACJA WŁASNA

W sobotę w Łodzi obradować będzie XVI Plenum Komitetu Centralnego PZPR poświęcone głównie roli klasy robotniczej w życiu kraju i narodu. Do udziału w debacie zaproszono dość liczne grono robotników, którzy nie są członkami Komitetu Centralnego, a częstokroć nie należą do PZPR. Wśród gości XVI Plenum znajdują się także przedstawiciele naszego regionu.

WOJEWÓDZTWO BIAŁOSTOCKIE reprezentować będzie 13 osób. W skład delegacji wchodzi m.in. posłowie — robotnicy: Maria Łapuć z „Biruny” i Zygmunt Łapiński z łipskiego ZNTK. Do udziału w obradach zaproszono też działaczy partyjnych z większych przedsiębiorstw m.in. „Uchwyty”, „Fast”, „Sierżana”, sokólskiego „Stolbudu” i Nasycałki Podkładów Kolejowych w Czeremsku.

W partyjnej debacie o roli klasy robotniczej weźmie udział czwórka robotników bezpartyjnych: Henryk Grodzki — brygadziśta mon-



WIZYTA BOTHY W SZWAJCARII

* GENEWA — Premier radzistowskiego rządu RPA, Pieter Botha przybył w czwartek do Szwajcarii, która jest drugim, po Portugalii, etapem jego podróży po krajach zachodnioeuropejskich.

Przypuszcza się, że rozmowy Bothy z przywódcami Szwajcarii będą się koncentrowały wokół zagadnień finansowych i handlu zbożem.

Szczegółowy 3-dniowy program pobytu Bothy w Szwajcarii nie zostały ujawnione ze względu na bezpieczeństwo szwajcarskiego rządu.

BILION DOLARÓW NA ZBROJENIE

* LONDYN — Światowe wydatki wojskowe przekroczyły bilion (1000 miliardów) rocznie — ocenia najnowsze wydanie brytyjskiego czasopisma wojskowego „The Jane's Defence Weekly”. Dwie trzecie tych wydatków przypada na kraje NATO i Układu Warszawskiego, 42 proc. światowego eksportu broni kieruje się na Bliski i Środkowy Wschód. W tym też rejonie znajdują się kraje o najwyższych w świecie wydatkach wojskowych, w przeliczeniu na głowę ludności.

Spotkanie z H. Jabłońskim Dzieci w Belwederze

WARSZAWA (PAP) — Choć w Warszawie niebo było zachmurzone, w salach Belwederu panował 31 maja słoneczny, wesoły nastrój. Tradycyjnym zwyczajem, przed Dniem Dziecka, przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński wraz z małżonką Jadwigą gościli kilkudziesięcioc osobową grupę najmłodszych — zuchów, harcerzy, członków Ligi Ochrony Przyrody, TPD i PCK. Przybyli oni do Warszawy z różnych stron kraju, aby zaprezentować przewodniczącemu Rady Państwa swoje radości i troski, to czym żyją na co dzień.

CZYTELNICY W REDAKCJI

Dialog każdego dnia

Dzień Czytelników, jaki zaproponowaliśmy w miniony wtorek (29 bm.), przyniósł plan. Do naszej sali konferencyjnej zeszło się kilkadziesiąt osób, które zechciały podzielić się swymi refleksjami o ważnej społecznie i politycznie sprawie — wyborów do rad narodowych.

Przybyli wyborcy, kandydaci na radnych, przedstawiciele Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego z woj. białostockiego i suwalskiego. Redakcję reprezentowali: KRYSZYNA KONECKA — zastępca Redaktora Naczelnego „GW”, red. IRENA BIERNACKA, red. ZBIGNIEW KRZYWICKI.

Fragmenty dyskusji właśnie dzisiaj prezentujemy. A nie była to żadna miara dyskusja urzędowa.

Zaczęliśmy ją takim oto własnym przestaniem: Możemy uznać, że wiele spraw związanych z wyborami jest jeszcze ciągle w fazie tworzenia się. Kampania przedwyborcza, sam akt wyborczy, są swego rodzaju nowum. Od tego, ile istotnych treści, może i form, włożymy w przygotowanie wyborów, od tego — sądymy — będzie zależeć bardzo wiele. Zakres tematyki, jaką poruszymy w dyskusji wyznaczają obecni na tej sali. Ale myślimy, iż można by zacząć od rozważań: co zrobiliśmy, a czego jeszcze nie — aby ukształtować model wydarzeń takich jak wybory. Model — przystający do czasów.

Sam fakt, że państwo tu przyszli, jest już deklaracją określonego typu postawy. Nawet jeżeli nie będzie to postawa akceptująca, już jest to wyrażenie chęci żywego uczestnictwa osobistego w tym, co się wokół nas dzieje. Zapraszamy.

STANISŁAW JANKOWSKI — rolnik ze wsi Jabłoń Jankowce (gmina Piekuty Nowe): U nas we wsi rady są już wybrane. Dyrektor szkoły przyjechał i powiedział, że jednego wybrał GS, drugiego ZBoWiD. I po co mam głosować? Tych złodziei i tak jest dosyć.

GŁOS Z SALI: — Oho, za oknem burza i na sali zagrzmiało...

PIOTR BORON — przewodniczący Rady Wojewódzkiej PRON w Białymstoku: Niech pan powie o co chodzi, bo przecież trudno sobie wyobrazić, że cała Polska to złodzieje. Sam mogę panu zaprezentować takie sytuacje, które są modelem, ale rozwiązań, więc je trzeba zwałować i naprawiać.

ALEKSY ZIN — emeryt z Hajnówki, kandydat do WRN: Zapytam pana, gdy już „przywleźli tych z teczki”, czy skorzystał pan ze swego prawa i powiedział, że się pan nie zgadza? Dam przykłady z Hajnówki, gdzie na jednym zebraniu ludzie nie przyjęli pięciu kandydatów, na innym — trzech. Na ich miejsce zgłosili własnych. Takie jest prawo, trzeba się nauczyć z niego korzystać.

Nie można tak uogólniać, że wszyscy w Polsce kradną, bo wszyscy siebie w ten sposób opluwamy.

Nauka demokracji

PIOTR BORON: O tym czy kandydat będzie na liście czy nie, decydowali sami wyborcy. Na około 6 tys. kandydatów w woj. białostockim 149 nie zostało zaakceptowanych. Na tym polega właśnie autentyczność udziału społeczeństwa w wyborach.

WITOLD POWICHROWSKI — adwokat, kandydat do WRN w Białymstoku: Mnie się

Ciąg dalszy na str. 3

ZA 17 DNI WYBORY!

Kampania wyborcza w ocenie PRON

WARSZAWA (PAP) — O mówieniu dotychczasowego przebiegu kampanii wyborczej do rad narodowych poświęcone było wczorajsze posiedzenie Prezydium Komitetu Wykonawczego Rady Krajowej PRON.

Według informacji rad wojewódzkich PRON, w przedwyborczych zebraniach konsultacyjnych wzięło udział ok. 2,5 mln wyborców, co stanowi prawie 10 proc. uprawnionych do głosowania. Na zebraniach tych prezentowano kandydatury ponad 310 tys. osób.

Dyskusje na zebraniach konsultacyjnych koncentrowały się głównie wokół założeń programów wyborczych i zmierzały w kierunku ich uzupełnienia. Miały one charakter rzeczowy i konstruktywny.

Prezydium podkreśliło, że duża liczba zgłoszonych kan-

Wizyta Bothy w Szwajcarii

* GENEWA — Premier radzistowskiego rządu RPA, Pieter Botha przybył w czwartek do Szwajcarii, która jest drugim, po Portugalii, etapem jego podróży po krajach zachodnioeuropejskich.

Przypuszcza się, że rozmowy Bothy z przywódcami Szwajcarii będą się koncentrowały wokół zagadnień finansowych i handlu zbożem.

Szczegółowy 3-dniowy program pobytu Bothy w Szwajcarii nie zostały ujawnione ze względu na bezpieczeństwo szwajcarskiego rządu.

Bilion dolarów na zbrojenie

* LONDYN — Światowe wydatki wojskowe przekroczyły bilion (1000 miliardów) rocznie — ocenia najnowsze wydanie brytyjskiego czasopisma wojskowego „The Jane's Defence Weekly”. Dwie trzecie tych wydatków przypada na kraje NATO i Układu Warszawskiego, 42 proc. światowego eksportu broni kieruje się na Bliski i Środkowy Wschód. W tym też rejonie znajdują się kraje o najwyższych w świecie wydatkach wojskowych, w przeliczeniu na głowę ludności.

pogoda

DZIS — zachmurzenie zmienne, miejscami przelotne opady deszczu i burze. Temp. maks. 20—22, min. 11—13 stop. C. Wiatr słaby, zmienny.

JUTRO — na ogół bez opadów, temperatura bez większych zmian.

IMIENINY: Jakuba i Gracjana (9)

Jutro w numerze:

- ▲ Gdybym została radną
- ▲ Kanak Dunaj — Morze Czarne — korespondencja z Rumunii
- ▲ Kultura w zakładzie pracy
- ▲ Ponadto Magazyn „Re-laks”
- ▼ Mniej więcej autentyczne
- ▼ Krzyżówka i szachy
- ▼ Co w telewizji
- ▼ Recepta na urodę
- ▼ Kuchnia zodiakalna

O pożytkach płynących z pokoju i pracy

Ciąg dalszy ze str. 1

enę unicestwiająca nasza planetę zakłócić istniejący porządek. Nie w tej postawie komunistów nie ma więc z konfliktualizmem czy też obliczonej na krótką metę taktyki politycznej. Komuniści tylko w jednym przypadku usprawiedliwiają wojnę: kiedy miłanowicie chodzi o obronę zagrożonego kraju.

„GW”: — O ile wiem znać cenę wojny z własnego doświadczenia. Byłiscie żołnierzem Armii Czerwonej a szlak Waszej jednostki wiodł również przez Polskę...

L.G. Kleckow: — Uczestniczyłem w Wojnie Ojczyźnianej od samego początku i aż do jej zwycięskiego zakończenia. Moja macierzysta 65 armia dowodzona przez gen. Batorę i wchodząca jak wiadomo w skład Frontu Białoruskiego, którym dowodził późniejszy marszałek Polski Konstanty Rokossowski brała udział w operacji Bagration. Operacja ta, przypomnijmy, miała na celu wyzwolenie Białorusi. 65 armia rozpoczęła natarcie na południe od Bobrujska i wyzwalając kolejno Słuck, Baranowicze, Stonim wkroczyła na ziemię polską. Brałem udział w wyzwoleniu Kleszczel, Czeremchy, Hajnówki i innych miejscowości Białostocznego. Zatrzymaliśmy się dopiero na linii Narwi w okolicy Pułtuska. A w 1945 r. poszliśmy dalej na Zachód. Uczestniczyłem w wyzwoleniu Świecia, Gdyni, Szczecina. Koniec wojny zastał mnie na zachód od Rostocka.

Parę lat temu miałem zaszczyt brać udział w odsłonięciu pomnika ku czci poległych żołnierzy radzieckich w Hajnówce. Złożyłem tam hołd moim kolegom, którzy polegli niesac wolności także mieszkańcom polski.

„GW”: — Jesteście jednym z inicjatorów i współtwórców wieloletniej już współpracy Obwodu Grodzieńskiego i całej reszty Białoruskiej Republiki w dawnym woj. białostockim, a obecnie trzema województwami: białostockim, łomżyńskim i suwalskim. Jakie Waszym zdaniem przynosi korzyści ta współpraca dla naszych krajów, a zwłaszcza zaprzyjaźnionych przygranicznych województw? Jakiej jest jej szersze społeczne i polityczne znaczenie? Czy są możliwości podniesienia tej współpracy na jeszcze wyższy poziom, wzbogacenia o nowe płaszczyzny i formy?

L.G. Kleckow: — Po tym co powiedziałem wyżej nie muszę chyba nikogo już przekonywać, że Białostocznym to dla mnie ziemia serdecznie bliska. Dlatego będę robił wszystko, co w mojej mocy, aby wspomnianą współpracę między naszymi zaprzyjaźnionymi województwami rozwijała się nadal, możliwe na wszystkich płaszczyznach. Politycznej, gospodarczej, kulturalnej, sportowej itp. Pytacie o jej sens, znaczenie. Jej największe znaczenie sprowadza się do wymiany doświadczeń. I po jednej i po drugiej stronie jest, w moim przekonaniu, wiele interesujących doświadczeń, rozwiązań, koncepcji, które po prostu warto upowszechnić. Krótko mówiąc z takiej partnerskiej wymiany korzyści są obopólne. Nie o rzeczy będzie w tym miejscu podkreślać, że nawet w okresie kryzysowym nasze związki nie uległy zawieszeniu. Ale obecnie — i tu odpowiadam na końcową część pytania — w nowej sytuacji powstały warunki dla podniesienia tej współpracy na jeszcze wyższy poziom. Są warunki, możliwości i jest taka społeczna potrzeba. Pogląd ten dzielę zresztą z polskimi gospodarzami przygranicznych województw.

„GW”: — O ile się orientuję, nie pierwsza to Wasza wizyta w Polsce i Białymstoku. Jakże są Wasze wrażenia z tego ostatniego, z konieczności bardzo krótkiego, pobytu? Jakże zmiany, które zaszły u nas ostatnio, zaskakują, według Waszej opinii, na szczególne uwagi?

L.G. Kleckow: — W historii nie pierwsza to moja wizyta, a wrażenia z tej ostatniej są naprawdę bardzo sympatyczne. Myślę tu w pierwszym rzędzie o ludziach pracy, z którymi miałem przyjemność spotkać się, a także o kadry kierowniczej. Moje obserwacje potwierdzają dalszą normalizację życia politycznego i gospodarczego w Polsce. To się po prostu widzi i czuje. Zaobserwowałem także, przynajmniej tam gdzie miałem okazję być osobiste, wzrost znaczenia POP i w ogóle całej partii. Potwierdzeniem jej rosnącej siły jest napływ kandydatów do PZPR. Cieszy, że wstępują do partii również młodzi ludzie. Mam prawo sądzić, że wszystko zmierza ku lepszymu, tu na Białostocznym i w całej Polsce.

Na zakończenie, jeśli pozwolicie, chciałbym z okazji jubileuszu 40-lecia Polski Ludowej serdecznie pozdrawić wszystkich mieszkańców Ziemi Białostockiej, Łomżyńskiej i Suwalskiej i przekazać im życzenia wszelkiej pomyślności, zarówno w życiu osobistym jak i zawodowym.

Rozmawiał:
MARIAN WIŚNIEWSKI

Ciąg dalszy ze str. 1

wyduje, że po wielu latach nasza kultura polityczna została wzbogacona o dwa kapitalne akty prawne, jakimi są ordynacja wyborcza i ustawa o systemie rad narodowych. Ordynacja poza wprowadzeniem nowego modelu wyborczego przynosi m.in. novum, jakim są spotkania konsultacyjne, na których kandydaci są akceptowani lub nie.

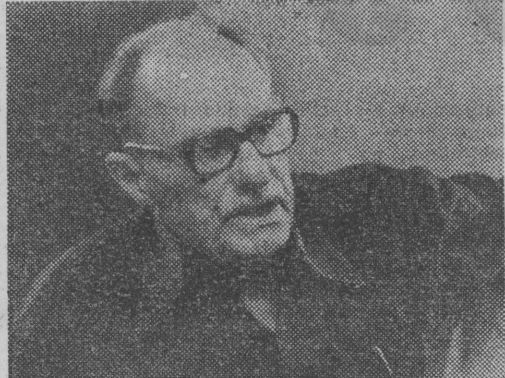
WŁODZIMIERZ WOJTKIEWICZ — emeryt, kandydat do WRN w Białymstoku: Z rekomendacji ZBoWiD w 63 roku życia dostąpiłem zaszczytu zgłoszenia mojej kandydatury na radnego z okręgu, w którym mieszkam — drobiaż — 36 lat. Podczas kilku spotkań, jakie odbyłem, wyniosłem wrażenie, że stan świadomości społecznej co do znajomości ordynacji jest bardzo niski. O tym świadczy też wypowiedź, jaka padła na tej sali. Nie odczuwa się, że PRON wykorzystał wszystkie możliwości zainteresowania tym wyborców. To jest nauka na przyszłość.

Poza tym inne spostrzeżenie. Jakoś nas nie stać na organizację rozwiązywania prostych spraw. Od 24 maja powinny być rozplakowane listy kandydatów na radnych. W śródmieściu Białostoku, owszem, są, a pozostałe części miasta zrobiły się pod tym względem jakąś głęboką prowincją. Pytałem — odpowiedział mi, że przecież do wyborów jest jeszcze czas, że deszcze spłuczą. Chyba nie tędy droga.

ZBIGNIEW KRZYWICKI: Jest to moim zdaniem niedopełniony obowiązek zawarty w ordynacji, która jest ustawą (!).

JAN MASŁOWSKI — komendant Chorągwi ZHP, kandydat do WRN w Białymstoku: Uczestnicząc w spotkaniach konsultacyjnych, zauważyłem niejednokrotnie podejrzenie organizatorów zebrań. Otóż stałym ich punktem miało być informacja o ordynacji wyborczej, a nie wszędzie tak było. Niekiedy pod koniec spotkania wyborcy rozpoczynali pytania o te podstawowe kwestie.

Wiem — i po części uderzam się w piersi — że młodzież również nie jest dobrze za-



PAWEŁ BOROWSKI — Sprawę wody wiejskiej trzeba stawiać tak jak niedługo stawiano sprawę elektryfikacji.

poznana z ordynacją wyborczą, aczkolwiek bardzo chętnie słucha o tych sprawach. Młodzi ludzie otwierali oczy, dowiadując się, że rzeczywistość ma do czynienia z wymiernymi elementami demokracji socjalistycznej. Oni myśleli, że pojęcie miejsca mandatu na liście wyborczej przesadza sprawę. Dopiero na spotkaniach wyjaśniono, że przecież na pierwszym i drugim miejscu są ludzie desygnowani przez te same organizacje.

My, jako działacze harcerscy, postanowiliśmy spotkać się z młodymi wyborcami — niekiedy z naszej organizacji — dla przedyskutowania zasad ordynacji wyborczej jeszcze przed 17 czerwca.

Aneks do programu

ZBIGNIEW OLBERT — przewodniczący Oddziału Wojewódzkiego PAX, kandydat do WRN w Białymstoku: Zauważyliśmy na początku że jesteśmy w jakościowo nowej sytuacji, w fazie tworzenia programów i nowych modeli zachowań. Chciałem powiedzieć, że nie tylko. Jesteśmy — podkreślam — także w fazie kontynuacji dotychczasowego dorobku. Jest to niezwykle istotne, ponieważ poprzednia rada narodowa podjęła szereg inicjatyw, które volens nolens muszą być kontynuowane.

Weźmy za przykład zagadnienie inwestycji. Przecież program w tym zakresie został zamknięty na trzy lata. Nowe rady będą musiały stwarzać warunki do jego realizacji i konstruować zarazem początki planu na najbliższe pięć lat. Na szczęście, nie odnotowałem lawiny żądań inwestycyjnych. Być może, ludzie uświadamiają sobie iż problem inwestycyjny w 50 procentach trafia znowu na rynek w postaci żądań placowych.

JANUSZ SZLEDZIŃSKI: Skoro o programie mowa — poruszę dwie sprawy. Otrzymałem mieszkanie, kuchnię zamontowano mi na środku ściany. Chcę przestawić, więc muszę zapłacić 1800 złotych. Pozostaje po tym „remont” półtora metra żelaznej rury. W 50 mieszkaniach będzie razem 75 metrów.

Sasiad z góry rozwał sobie ściankę i wyrzucił futrynę. I materiału się w ten sposób marnuje? Takie to jest projektowanie budynków. Druga rzecz. Widzimy wielu ludzi kalekich. W Polsce mamy 500 tysięcy osób chorujących na padaczkę. Dostają listy od tych ludzi. Z Grajewa młody człowiek pisze, że nie ma pracy. ZUS nie chce mu wypłacić zasiłku — każą pracować, a nie przyjmują go do roboty. Drugi przypadek w „Stolbudzie” w Sokółce. Mam też list z Suwałk. Czy są panowie z Suwałskiego? — prześlę list i chciałbym otrzymać odpowiedź.

TERESA PIETRASZEK — lekarz weterynarii, kandydat do WRN w Białymstoku: Mówimy o osobach, które nie mogą sobie same poradzić. Jako była radna stwierdzam, że w tej dziedzinie jest spora luka. Są na ten cel pieniądze, ale dzieje się coś dopiero, gdy radny dotrze do gminy i pokaże palcem, że temu lub tamtemu trzeba pomóc. Jest też inna rzecz. Ludzie odpowiedzialni za pewne sprawy nie dopełniają swoich obowiązków, więc wydaje mi się, że powinniśmy wytoczyć generalną wojnę wszystkim urzędnikom, którzy pracują byle jak. Czym pracownicy ZUS-u mogą się usprawiedliwiać, jeżeli człowiek nie otrzymuje przez dwa i pół roku należnych mu pieniędzy?

A co do opieki społecznej — pielęgniarek PCK jest stanowczo za mało. Może trzeba zrobić jakąś propagandę w prasie, w zakładach pracy, szkołach? Zarabiała mało, ale chyba państwo socjalistyczne stać na zapewnienie ludziom opieki.

ZBIGNIEW KRZYWICKI: Jeżeli rada narodowa uzna to za ważny problem, to przecież może tak rozemnieć — że tak powiem — akcenty budżetowe, by można było te siostry PCK dowartościować. Takie prawo ma.

JAN MASŁOWSKI: Znalazłem stosowny fragment programu — wyborców. Brzmiał on następująco: „Będziemy wspierać działalność na rzecz poprawy warunków pracy i



TERESA PIETRASZEK — Powinniśmy wytoczyć wojnę wszystkim urzędnikom, którzy pracują byle jak.

życia ludzi niepełnosprawnych. Realną szansę w tym zakresie widzimy w zamierzonej przez spółdzielczość inwalidzką budowie trzech zakładów pracy chronionej i rozbudowie zakładu w Nowosiółkach”. Wprawdzie szczegółowo nie mówi się tu o tym problemie, który zgłosił pan Szleziński, ale to jest ten zakres spraw. Jako kandydat na radnego zapisuję sobie ten problem, ponieważ łączy to się z działalnością harcerskich zastępów i drużyn „Nieprzetartego Szlaku”, działających wśród dzieci i młodzieży niepełnosprawnej.

ZBIGNIEW OLBERT: — Sprawa druga do programu i zarazem zadanie dla przyszłej rady, to jak najszybsze utworzenie w Białymstoku uczelni humanistycznej. Myślę o realiach, które mogą taką dezyderję spieszyć. Tym są zresztą zainteresowane także województwa suwalskie i łomżyńskie.

Albo weźmy sprawę melioracji. Trzeba by się naprawdę zastanowić nad ich efektywnością.

EUGENIUSZ GOSIEWSKI — sekretarz



WK ZSL, kandydat do WRN w Białymstoku: Będę polemizował, wśród fachowców jest jasność, że korzyści są oczywiste. Każdy zmierzorowany hektar daje pożytek...

ZBIGNIEW OLBERT: — Tak, meliorujemy, meliorujemy, a efekt jest taki, że nie wiadomo czy na serio to się opłaca. Można podać przykłady Winy, bagna Kuwas, rejonu Kanalu Wierzb-Krzna. Przecież tam nastąpiło faktyczne odwodnienie. Jeżeli zostaną wybrani, będą dążyć do sporządzenia bilansu zysków i strat ekonomicznych i społecznych. Takie analizy mogłyby podjąć Ośrodek Badań Naukowych.

PAWEŁ BOROWSKI — emeryt, kandydat do WRN w Białymstoku: Najpierw wyrażę pewien niepokój. Na posiedzeniu RW PRON podnieśliśmy problem zbliżającego się, a nawet istniejącego kryzysu wodnego. To jest sprawa, która warunkuje i produkcję, i stan higieny, i zdrowia ludności. Postulowałem wyrażnie, że sprawę wody wiejskiej trzeba teraz stawiać tak, jak niedługo stawiano sprawę elektryfikacji. Mówiono o tym na Kongresie ZSL, ale chciałbym bardzo, aby z naszego województwa wyszły kolejne inicjatywy w tej mierze. Wojewoda również widzi ten problem, ale podkreśla, że brak materiałów czyni zamiar nie w pełni wykonalnym. Jeżeli natomiast doceni się tę sprawę, to wówczas i przemysł będzie się musiał podporządkować potrzebom programu.

ZBIGNIEW KRZYWICKI: — Tu warto przypomnieć, że Sejm w dniu 20 lipca 1983 r. nadał wojewódzkiej radzie narodowej prawo wnioskowania o inicjatywę ustawodawczą, a zatem istnieje możliwość przeniesienia naszych tu przemysłów na forum parlamentu.

PAWEŁ BOROWSKI: — Kontynuuję. Musimy też zdać sobie sprawę, że jest uznane w Polsce istnienie zaczynającego się kryzysu ekologicznego. Mamy 29 okręgów bezpośrednio zagrożonych ekologicznie.

JAN CITKO — architekt, kandydat do WRN w Białymstoku: W programie wyborczym wiele spraw zapisanych jest w sposób niekonkretny. Obywatel niekiedy nie chce wiedzieć o ile procent poprawi się stan czystości wód, ale czy rzeka Sułpa będzie czysta na tym lub owym odcinku. Inny przykład: w programie tym nie ma nic o ciepłowniach w Bielsku Podlaskim, Stemiątkach, Sokółce. W Bielsku, nie wiem czy państwo wiedzą, jest Osiedle Centrum zaprojektowane tak, że w środku zabudowy mieszkaniowej miał się znaleźć zielony ogród rekreacyjny. A życie jest takie, że wybudowano wokół tego ogrodu pięć kotłowni, zaś ogród zamieniono na jeden skład opału. A zatem według mnie, zapis w programie musi być precyzyjny. Powinno się doprowadzić



JAN CITKO

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

— Chciałbym doprowadzić do spójności między planowaniem gospodarczym a przestrzennym.

one w dużym stopniu zbliżne z kierunkami wytyczonymi dla województwa białostockiego.

Podstawowa sprawa — człowiek pracuje, chce zjeść i chce godziwie wypocząć po pracy. I tym zajął się suwalski program. Po pierwsze więc — wykorzystanie wszystkich możliwości tkwiących w rolnictwie i gospodarce żywnościowej, po drugie — poprawa sytuacji mieszkaniowej i trzecie — ochrona środowiska. Tu mały przykład: oczyszczalnia ścieków w Giżycku kosztowałaby, według cen ubiegłorocznych, około miliarda dziewięciuset milionów złotych; budżet województwa zaś wynosi dwa miliardy trzydzieści milionów złotych. Można sobie wyobrazić, co by było z pozostałymi inwestycjami, gdyby oczyszczalnia musiała być realizowana z budżetu wojewódzkiego. Były dyskusje i konflikty, na przykład, że szpital buduje się w Suwałkach a nie w Elkku. Ale okazało się, że jednak społeczeństwo przekonało się do tego i program zaakceptowało.

ALEKSY ZIN: — Za wszystkimi postu-



ALEKSY ZIN — Widzę rolę radnego w szerszym kontekście o naszych możliwościach

Mam nadzieję, że wiele może zdziałać prasa społeczna wobec radnego, wynikająca z powszechnego przekonania, że rady są na prawdę gospodarzami, rzeczywistość coś może. Jeżeli dotrzymamy z tym do świadomości wyborców to oni wymuszają, by radny był radnym.

ZBIGNIEW OLBERT: — Na jednym ze spotkań konsultacyjnych otrzymałem pytanie, jak zamierzam reprezentować interesy tej miejscowości? Odpowiedziałem, że nie chciałbym wyłącznie tych interesów reprezentować. Zależy mi na przedstawianiu określonych problemów województwa. Każdy radny powinien dostrzegać krzywdę ludzką, ale przede wszystkim musi starać się stworzyć takie warunki, żeby ta krzywda zdarzyć się nie mogła.

JAN CITKO: — Może refleksja osobista. Po raz pierwszy kandyduję do rady narodowej. Gdy moja kandydatura została wysunięta przez środowisko, miałem wielkie opory, aby zdecydować się na podjęcie tych obowiązków. Te moje opory nie ustąpiły do dzisiaj. Myślę, że na to potrzebny jest czas, żeby się przekonać czy działalność rady będzie autentyczna.

TOMASZ MIŁKOWSKI: — Jaki ma być radny? Słuchając radia, czytając prasę, odnoszę wrażenie, że w tej chwili społeczeństwo próbuje lansować postać radnego, jako maszynki do załatwiania wszystkich spraw i to od razu pozytywnego. Taka skrzynka próśb i wniosków do wykonania. Wiele instytucji i organizacji myślało tak: Im więcej zgłosimy, tym więcej swoich spraw załatwimy. A nie wolno kierować radnych w taki wąski korytarz. Powszechnie się uważa, że jak ktoś jest ze środowiska młodzieżowego, więc reprezentować będzie młodych. Jak ze ZBoWiD-u, tak dla kontrastu, to „odpowiada” za sprawy środowiska kombatanckiego.

WŁODZIMIERZ WOJTKIEWICZ: — Nie zgadzam się.

TOMASZ MIŁKOWSKI: — ...ale takie dą-

żeńia były.

WŁODZIMIERZ WOJTKIEWICZ: —

Odpowiem: Choć wysunięty do rady przez

Dialog każdego dnia

latami wyborców kryją się pieniądze i inwestycje. Każdy umie wymyślić mostek, szkołę, przejście... Co w tej sytuacji jako radny bym widział? Możemy otóż powiedzieć, co trzeba w mieście i gminie zrobić własnymi siłami, a co wrzucić do „wojewódzkiego worka”. Przykłady z Hajnówki. Okazuje się, że można budować społecznie. Dwa muzea będą kosztować 60 milionów. Pojechalibyśmy do jednego ministra, do drugiego. Ukazało się zarządzanie międzyresortowe o bezpłatnym przejmowaniu eksponatów do Muzeum Drzewnictwa. Także samorządy wysygnują kwotę 10 milionów złotych każdy. To są te rezerwy dotyczące realizacji programu.

PAWEŁ BOROWSKI: — Nie mam zamiaru kwestionować znaczenia czynów społecznych. Odgrywają one dużą rolę wychowawczą i gospodarczą, ale przecież żyjemy w epoce rewolucji naukowo-technicznej i musimy odwołać się do pomocy nauki i techniki, które będą rozwiązywały najważniejsze problemy społeczne i gospodarcze. Program wyborczy o tych sprawach nie wspomina. Chodzi mi o to, że czyn społeczny może przynieść pewne efekty, ale do podniesienia jakości życia musi przyczynić się i nauka. Mamy sporo stowarzyszeń NOT-owskich i do nich trzeba się odwołać.



ZBIGNIEW OLBERT — Zadanie dla przyszłej rady — jak najszybsze utworzenie w Białymstoku samodzielnej uczelni uniwersyteckiej.

Dwa słowa o warunkach realizacji programu wyborczego. Mamy sporo długów, wyzdemografizmy, możemy mówić o kryzysie ekologicznym, energetycznym, wodnym, jest luka technologiczna oddzielająca nas od niektórych krajów. W takich warunkach będziemy realizować plany i trzeba sobie z tego zdawać sprawę. Nie chcę roztaczać tu apokaliptycznych, ale społeczeństwo powinno mieć świadomość, że są to sprawy nie zawniesione przez rząd, to przeżywa cały cywilizowany świat.

WITOLD POWICHROWSKI: — Program wyborczy, który we fragmentach teraz przytoczyliśmy jest pewną ramą, więc powinien być wzbogacony o nowe elementy wynikające z dyskusji w kampanii wyborczej, czy też w czasie kadencji rad. Ale mnie się wydaje, że każdy program, nawet ten najlepszy, jeżeli będzie tylko zapisany, zostanie programem papierowym. Na każdy taki dokument trzeba spojrzeć z dwóch płaszczyzn — ludzkiej oraz środków i możliwości, jakie posiadamy. Wszyscy jesteśmy przekonani, że program ten trzeba realizować. A więc — myślę — powinniśmy już porozmawiać o roli radnego.

Jaki radny, jaka rada?

EUGENIUSZ GOSIEWSKI: — Czyli, co należałoby robić, żeby rady były radami. Myślę, że niektórych spraw powinniśmy się odcuć, tych złych spraw z lat siedemdziesiątych. Zwłaszcza wygody urzędników i przedstawicieli władzy. Dla tych ośrodków układania rada jest przydatna i wiadomo, że te ośrodki będą preferować „grzecznego radnego”. Jest i inne niebezpieczeństwo — zwykła ludzka skłonność do jakiegoś konformizmu, wchodzenia w układy itd.

ZBoWiD, jeśli trafią do jej składu, ważne są problemami gospodarki żywnościowej.

TOMASZ MIŁKOWSKI: — Wróć do podstawy radnego. Nie możemy przedstawiać kandydatów na radnych w stylu: „czego to oni nie załatwią”. A może byśmy tak spróbowali czasem pokazać, czego oni, niestety, nie będą mogli załatwić?

GEÓRZ SALI: — Ot i młodzieżca przekora...

WALDEMAR BRZEZIŃSKI: — Trzeba uczulać radnych, aby oni nie stali się rzecznikami administracji wobec społeczeństwa, ale działali dwukierunkowo. Administracja powinna być stale pod preglizmem radnego i bezwarunkowo stosować się do jego zdania.

ZBIGNIEW OLBERT: — A jednak powinno być dwustronne zrozumienie. Interes rady i administracji jest wspólny. Jeżeli to sobie uświadomimy i przekonamy urzędy, nie będzie powstawała sytuacja przeciągania liny.

ALEKSY ZIN: — Ja przede wszystkim widzę rolę radnego w bardzo szerszym kontekście o naszych możliwościach. Bo jeżeli będziemy chcieli przypodobać się wyborcom, to nie z tego dobrego nie wyjdzie. Na przykład, jako ewentualny radny, widzę olbrzymią rezerwę w poprawianiu samorządności w zakładach pracy. Reforma gospodarcza nie ruszy tak długo, jak długo nie nadamy właściwego znaczenia wydajności pracy. Znam sprawę, bo przez wiele lat byłem dyrektorem. Teraz na szczęście jestem normalnym człowiekiem.

Wiem, że robotnikowi trzeba płacić tyle, ile mu się należy i jeszcze trochę, lecz nie można wiecznie wydajności pracy wyprzeć z placami. Mówienie o takich sprawach jest niepopularne zwłaszcza teraz, ale właśnie mówić trzeba i będę.

WITOLD POWICHROWSKI: — Wyborca chciałby, żeby „jego radny” spotykał się z nim nie tylko zabiegając o głosy, ale przez całą kadencję. Bo przecież na spotkaniach radny otrzymuje kwantum wiedzy, poznaje problemy, jakimi żyją wyborcy. Oni powinni być jego „tworzywem”, a on winien przekazywać ich problemy na sesjach czy też w komisjach. Wydaje mi się, prócz tego, że radny musi być zaangażowany politycznie — swoim postępowaniem wykazywać, iż proces demokratyzacji u nas się przyspiesza. Przekonywać, że w osobie radnego wyborca znajdzie nie koniunkturalistę, który będzie za wszelką cenę chciał wejść do rady, ale człowieka odpowiedzialnego.

WŁODZIMIERZ WOJTKIEWICZ: — Trzeba egzekwować obowiązkowe spotkania radnych ze społeczeństwem. To nie może się ograniczać do okresu wyborów. Radny mimo wszystko powinien czuć się zobowiązany wobec swego środowiska, powinien składać relacje, co zrealizowano, a czego nie oraz jakie są tego przyczyny. Wtedy stan świadomości ludzi nie będzie taki jaki jest. Nikt nie powie, że „radny, a beznadziejny”.

TERESA PIETRASZEK: — Powinno być: jako radny — wszystko mogę, jeżeli jest to zgodne z przepisami i zasadami życia społecznego.

PIOTR BORON: — Chciałbym to przypomnieć, że wyborcy mają zagwarantowane prawo odwołania radnego, jeżeli w ich opinii on się nie sprawdza. Właśnie wyborcy...

MAREK KONOPKOWSKI: — Panowie Zin i Powichrowski powiedzieli, że trzeba trochę czasu, żebyśmy się wszyscy nauczyli krzysztować z przywykłej demokracji. To jest właśnie ten proces i to długotrwały, może na wiele lat.

N a początku padła propozycja, abyśmy ocenili, co już zrobiono, a czego jeszcze nie, we wprowadzaniu mechanizmów ludowładztwa. Jeśli można, powróćmy w przyszłości do tego pytania, może także na łamach „GW”. Będziemy mieli lepszą perspektywę i więcej doświadczeń.

PIOTR BORON: — Rozumiem to dzisiejsze spotkanie jako wyjątek naprzeciw temu, co w Patriotycznym Ruchu Odrodzenia Narodowego liczy się najbardziej. Mianowicie dialog między społeczeństwem a władzą i dialog wewnątrz społeczeństwa.

Dyskusję opracowali:

IRENA BIERNACKA
i ZBIGNIEW KRZYWICKI
Fot.: ZDZISŁAW LENKIEWICZ

Organista jednego z kościołów zwrócił uwagę, że w wieczór poprzedzający nocne włamanie stał w pobliżu samochodów zagranicznej jakby marki...

Szpenio

Zgodnie z naszą zapowiedzią, zamieszczamy dziś kolejny odcinek wspomnień oficerów MO o najciekawszych wydarzeniach w ich wieloletniej praktyce dochodzeniowo-sledczej.

Wszystko to stało się tak nagle jak w sensacyjnym filmie. Bardziej też przypominało porwanie w biały dzień, w środku nocy, na ruchliwej ulicy, niż ujęcie groźnego, poszukiwanego przestępcy. Wprawdzie od tamtego wydarzenia upłynęło już kilkanaście lat, ale mój rozmówca kapitan Jan Pietruczuk z Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Białymstoku pamięta jakby to było wczoraj. Zbyt silne i nieoczekiwane było to przeżycie, aby nie wyryło się w pamięć.

— Już od kilkunastu dni szukał „Szpenia”. Pseudonim jest zresztą autentyczny. Pod takim nazwiskiem w środowisku przestępczym i pod takim figurą w milicyjnej kartotece. A kartotekę — trzeba to przyznać — miał nader obszerną, że starczyłoby nie na jedną, ale na kilka osób a dla każdej z osobna po solidnym sądowym wyroku. Niemal gotowy materiał do filmu lub książkowego „kryminału”...

„Szpenio” pojawił się w Białymstoku na początku lat siedemdziesiątych. Wtedy odnotowano sporą ilość włamań do mieszkań, kościołów, cerkwi, skąd zabierano ikony. W kościele w Czarnej Wsi Kościelnej wyłamało tabernakulum, które rozbite znalazło potem w pobliskim lesie. Usiłowało też włamać się do białostockiej cerkwi przy ul. Lipowej.

Organista jednego z kościołów zwrócił uwagę, że w wieczór poprzedzający nocne włamanie, stał w pobliżu samochodów zagranicznej jakby marki. Z numeru rejestracyjnego zapamiętał jedną literę i dwie-trzy cyfry, nie bardzo potrafiąc określić w jakiej kolejności występowały. Nie zlekceważono tej informacji, ale z drugiej strony sprawdzenie w całym kraju wszystkich samochodów zagranicznych marek było przedsięwzięciem gigantycznym, bez większych szans na powodzenie.

Znalazł się i inny świadek, który tym razem bezbłędnie określił markę pojazdu. — To był na pewno Ford Cortina, nie mam najmniejszych wątpliwości...

W kilka dni później jeden z oficerów KW MO, przeglądając „Gazetę Białostocką”, zwrócił uwagę na drobne ogłoszenie. „Sprzedam Ford Cortina, stan dobry...” Ford Cortina? Zapada szybka decyzja. Oficer, naturalnie po cywilnemu, wystąpił w roli klienta. Będzie się trochę wahał, targował a przy okazji dokładnie obejrzy samochód a zwłaszcza numer rejestracyjny.

Właściciel Forda Cortiny był nieco rozczarowany. Sądził, że klient jest bardziej zdecydowany i dysponuje większą gotówką. Umówili się na dzień następny i... spotkali się, ale już w Komendzie MO.

Niebawem już wiadomo, że inicjatorem włamań jest właśnie „Szpenio”. Potwierdził to dwaj jeszcze inni współnicy, ujęci na ranem gdy z łupami wracali z kolejnego włamania.

Tymczasem „Szpenio” widząc co się święci, uciekł z domu. Widywano go w Zakopanem, przebywał w Cynamani, był na opolskim festiwalu, przez czas krótki odwiedzał po kraju z cygańskim zespołem artystycznym. Gdy tylko natrafiono na jego trop, zniknął, aby pojawić się w przeciwnym kierunku.

Decyduje się jednak wrócić do Białegostoku. Być może zaważył to fakt, że w mieszkaniu, w wywiezieniu łazienki, miał ukryte sporo forsy z obrabowanych nieznajomych. Nie wiedział jednak, że w czasie gdy grasował po Polsce, przyszedł do jego mieszkania dobry kumpel Andrzej M., znany pokerzysta w środowisku karciarskim. Zapłacił grzeźnię mamusi „Szpenia” czy może skorzystał z łazienki. Po chwili wyszedł, ale forsa zniknęła bez śladu. Ale o tym „Szpenio” dowiedział się już znacznie później i dobrze to sobie zapamiętał.

dze — radiowóz. „Lizak” w górę, kontrola drogowa... Usiłował wyskoczyć w biegu i to obudziło podejrzliwość milicjanta. Chłop młody, wysportowany, dopadł bez trudu go i przytrzymał. Przecież to poszukiwany „Szpenio”!

Przesłuchiwany wielokrotnie, „Szpenio” usiłował kłuczyć, płatać. Trochę się przyznawał do włamań, niektórym faktom zaprzeczał. Nicco spuścił z tonu gdy mu powiedziano iż kumoli już siedzi w areszcie. Ponieważ miał zaledwie sześć lat, sąd postanowił umieścić go w zakładzie poprawczym.

W zakładzie poprawczym nie zagrażał miejsca zbyt długo. Skorzystał z pierwszej sposobności i uciekł. Ponieważ część kolegów siedzi, tworzy nową grupę. Znow włamanie i rabunki. Ma kilku znajomych tak-sówkarzy, którzy wożą go na włamania. Staje się jednak bardziej ostrożny. Wyposaża kolegów w krótkofalówki. W razie czego — sygnał i natychmiastowa ucieczka.

Decyduje się na duży skok. Forsuje się z pomocą kolegów do sklepu „Upominki” przy ul. Lipowej. Nawet nie spodziewali się, że łup będzie tak ogromny a szczególnie znaczna ilość drogich zegarków z importu. Łączna kwota — zrabowanych towarów mogła spowodować zawrót głowy.

Już wiadomo, że robi to wszystko „Szpenio” za swą grupą. Wciąż jednakże wymyka się z rąk funkcjonariuszy MO. Znamy już niemal wszystkie jego meliny, paserów, współników. Wiadomo, że „Szpenio” wprawdzie pochodzi z dzielnicy Antoniuk i tam niegdyś mieszkał, ale najczęściej przebywał w dzielnicy Bojary. Tu czuje się najpewniej. Stąd są kumple, tu mieszkają paserzy, stąd wyrusza na włamania. Czasem, ale tylko na moment, pojawia się w pobliżu baru „Piast”. Nigdy jednak sam. Zawsze towarzyszy mu „obstawa”, przeważnie dwuosobowa.

Butny i pewny siebie, pisze najpierw jeden a potem drugi list do... komendanta wojewódzkiego MO, „Wiem, że mnie szukacie i za mną chodzicie... Nie mi nie zrobiecie...”

Przeliczył się jednakże. Nie wziął pod uwagę, że niemal cała dzielnica jest już pod dyskretną obserwacją.

Lipcowe popołudnie. Ulica Marchlewskiego od strony Bojar w kierunku Rynku Kościuski jedzie niepozorna Warszawa. W środku kierowca i trzy funkcjonariusze MO. Wszyscy po cywilnemu. Samochód dojeżdża do skrzyżowania z ul. Warszawską. Jeden z oficerów widzi, że ul. Warszawską, od Urzędu Pocztowego, zmierzając w stronę ul. Marchlewskiego, idzie... Tak, idzie „Szpenio”. Ale ma po bokach, bacznie lustrujących ulicę, dwu rosyjskich dryblasów.

Bylskawiczna decyduje: skrócić do Aleje i Mają, dyskretnie zaparkować obok sklepu ZURIT. Dwaj funkcjonariusze idą powoli ul. Marchlewskiego. Jeden z nich staje, nie wierzy własnym oczom, „Szpenio” stoi sam na chodniku, gapi się przez szybę do środka istniejącej tam niegdyś piwnicy, ciesząc się zresztą jak najgorszą sławą. Obu dryblasów nie ma. Chyba weszli do środka, aby zrobić „szefowl” miejsce.

Mocny chwyt na moment obezwładnia „Szpenia”. Broni się zaciekle, szarpie. Dobiegają dwaj pozostali funkcjonariusze MO. Trzymają silnie, nie pozwalają wyrwać się. Niosą tak — dosłownie niosą do samochodu. „Warszawa” rwie do przodu i zatrzymuje się dopiero na dziedzińcu Komendy Miejskiej MO przy ul. Warszawskiej.

„Szpenio” wie, że wpadł i nie ma szans. Miał na ręku i w kieszeni zegarki z „Upominków”. Kolejne, za współnikami i paserami, za-

trząskają się drzwi aresztanckich cel. Blisko dwadzieścia osób. Rośnie rejestr dokonanych włamań w Białymstoku i woj. białostockim, Warszawie, Poznaniu i wielu innych miastach. Lista zarzutów obejmuje kilkadziesiąt pozycji. Uduje się odciskać min. część ikon z „Upominków”.

Chwileczkę kapitanie, a kto jechał tą „Warszawą”? Kto zdecydował się aby chwytłem obezwładnić „Szpenia”? Co się stało z jego obstawą?

— Jechałem ja, dwaj moi koledzy, kierowca. Zdecydowałem się iść pierwszy, kierowca mnie asekurował. Gdy dopadłem „Szpenia”, koledzy pospieszyli z pomocą. „Obstawa” zniknęła. Chyba zorientowali się, co się stało, a może sądzili, że nas jest więcej i też mogą wpasć tak jak i ich szef...

„Szpenio” znow trafił do Zakładu Poprawczego. Przebywał tam aż do pełnoletności. Zaczął pracować, można było przypuszczać, że się usatysfakcjonował.

— Los jednak sprawił, że niebawem ponownie zetknąłem się z „Szpeniem”.

Sprawa była poważna. „Szpenio”, jego brat — kareta i kolega, po wyjściu z restauracji „Turkus” tak pobili zupełnie nie znanego człowieka, że zmarł w szpitalu. Byli jednak pewni, że nie im nie grozi. Ich dziewczyny stworzyły im zdrańców się niepodważalne alibi. Przyjaciółka „Szpenia” zeznała, że spał u niej w domu. W pewnym momencie alibi runęło jak domek z kart. „Szpenio” jednak o tym jeszcze nie wiedział.

— Pojechałem tam gdzie pracowali. Nie spodziewałem się mojej wizyty. Sądził zapewne, że nie ma już w stanie obalić alibi tych dziewczyn. Powiedziałem mu wtedy: widzisz, zatrzymuję się po raz drugi, ale teraz to chyba na dłużej... Posmutniał, spuścił głowę, milczał gdy jechałszy samochodem. Wiem, że wyrok był bardzo surowy. Cała trójka otrzymała po kilkanaście lat pozbawienia wolności. W chwili ogłoszenia wyroku „Szpenio” miał zaledwie dwadzieścia dwa lata. Nieprędko teraz opuści zakład karny. Spędzi tu najcięższe lata swego życia, które sam sobie tak bardzo skomplikował. Czas pokaze jakim będzie człowiekiem gdy wyjdzie na wolność. Ale nie chciałbym zatrzymywać go już po raz trzeci...

JERZY KRASS

Diecku należy ofiarować to, co jest najcenniejsze na świecie — zdrowie.

Młody mężczyzna, mający ledwie dziesięć lat, został ojcem. Na pytanie, kogo chciałby mieć syna czy córkę, odpowiedział: najważniejszego, najwęższego, żeby dziecko było zdrowe i dobrze rosło.

Przyszły tata chociaż z własnego doświadczenia nie mógł jeszcze tego wiedzieć, powtórzył prawdę znana doskonale wszystkim rodzicom: zdrowie dziecka to podstawa sprawy. Doc. dr hab. Franciszek Taraszkiewicz, pediatra z trzydziestoletnim stażem mówi, że jedno chore dziecko to nie jeden pacjent — lecz kilku, a może być i kilkunastu. Bo chore dziecko to chora cała rodzina: ojciec i matka, dziadek i babka, ciotka i kto tam jeszcze jest z rodziny. Dlatego też lekarz, opiekując się najmłodszym, musi zająć się też jego bliskimi, znaleźć czas na rozmowę, na psychoterapię.

Doc. Taraszkiewicz jest dyrektorem Specjalistycznej

Dieckiem i Młodzieżą, zgodnie ze swoimi zadaniami, kontrolują placówki terenowe, zwracają uwagę na to, czy pracują odpowiednio, a więc — czy są jak najbliższe pacjentowi.

Ale nadzór ZOZ nie przejawia się tylko w sprawdzaniu i udzielaniu Konsultacji. Grupy specjalistów z zakresu pediatrii wyjeżdżają po prostu do gminnych ośrodków zdrowia, pomagają w badaniu małych pacjentów, w kwalifikowaniu ich do grup dyspanseryjnych, w ustalaniu leczenia.

Zapewnienie opieki lekarskiej dzieciom z grup dyspanseryjnych to ogromny problem, zwłaszcza, że w ostatnich latach notuje się bardzo duży wzrost wad wrodzonych, zwłaszcza układu krążenia, a także schorzeń kiedys nie spotykanych w tym wieku, jak wrzodów żołądka i dwunastnicy, zakażeń dróg żółciowych. W woj. białostockim do dwunastu grup dyspanseryjnych zakwalifikowanych jest obecnie 23 proc. wszystkich dzieci: z wadami postawy, zaburzeniami wzroku i słuchu, schorzeniami laryngologicznymi, układem krążenia i reumatycznymi, z cukrzycą itp. Licz-

Żeby były zdrowe...

go Zespołu Opieki Zdrowotnej nad Matką, Dzieckiem i Młodzieżą w Białymstoku, wicedyrektorem Instytutu Pediatrii Akademii Medycznej, kierownikiem kliniki chorób zakaźnych dzieci, specjalistą wojewódzkim w zakresie pediatrii i medycyny szkolnej, członkiem krajowego zespołu nadzoru specjalistycznego do spraw pediatrii i medycyny szkolnej na makroregion. Zna doskonale całokształt zagadnień związanych z opieką zdrowotną nad najmłodszymi i za bardzo istotną sprawę uważa partnerstwo lekarza z matką, z rodziną, w staraniach nad prawidłowym rozwojem dziecka. Na jakimś etapie życia, na służbę zdrowia dla najmłodszych na Białostocczyźnie? Lekarzy pediatrów jest 252, czyli jeden przypada na nieco mniej niż tysiąc osób w wieku do 13 lat. Daje to lepszą średnią, niż krajową. Ale w jedenaście gminnych ośrodkach zdrowia nie ma w ogóle pediatrów; w podstawowych funkcjach profilaktycznych zastępuje ich lekarz ogólny.

Nader ważną rolę spełnia tu położna rejonowa. Ona pierwsza widzi niemowlę na tle środowiska domowego, przychodzi z tzw. wizytą patronażową zaraz po wypisaniu ze szpitala. Położna ma mnóstwo do zrobienia. Wiele młodych kobiet nie jest przygotowanych do pełnienia funkcji macierzyńskich, są niedojrzałe społecznie, niesamodzielne, trzeba je uczyć i jeszcze raz uczyć. Choćby tego, że niemowlę należy karmić piersią, co chroni je od wielu chorób, uodpornia, a także wpływa na powstawanie ściślejszych więzi uczuciowych z matką. Albo tego, że codziennie należy maluchowi podawać witaminę D3, zabezpieczając go przed krzywizną.

Położna rejonowa przy okazji czynności ściśle zawodowych pełni często i społeczne funkcje. Styka się przecież z dziesiątkami nietypowych sytuacji, konfliktów, nieraz tragedii ludzkich. Ale wie załatwia pomoc materialną, prawną, opiekę. To, co dziecku i matce potrzeba.

Gdy pracownicy Specjalistycznego ZOZ nad Matką,

na jest grupa pacjentów z tzw. ryzyka okołoporodowego, a więc wcześniaków, z porodów kleszczowych, operacyjnych i innych.

Większość jednak dzieci z grup dyspanseryjnych wymaga tylko obserwacji, zaś czynnej opieki rehabilitacyjno-leczniczej — tylko siedem proc. I tutaj znowu bardzo ważne jest współdziałanie rodziców z lekarzem, z poradnią specjalistyczną. Od tego przecież zależy, czy młody pacjent w odpowiednim czasie stawi się na badania kontrolne, czy będzie uczęszczał na zajęcia rehabilitacyjne, prowadził odpowiedni tryb życia.

Jakimi środkami dysponuje służba zdrowia dla najmłodszych na Białostocczyźnie? Lekarzy pediatrów jest 252, czyli jeden przypada na nieco mniej niż tysiąc osób w wieku do 13 lat. Daje to lepszą średnią, niż krajową. Ale w jedenaście gminnych ośrodkach zdrowia nie ma w ogóle pediatrów; w podstawowych funkcjach profilaktycznych zastępuje ich lekarz ogólny.

Wekzownik zatrudnienia położnych jest duży, bo wynosi 7,1 na 10 tys. mieszkańców. Ale jeśli się weźmie pod uwagę same ZOZ-y, to spada do 3,4 (zgodnie z normą powinno być 5), a już wręcz katastroficznie jest, jeśli chodzi o położne rejonowe. W miastach pracuje ich 21, na wsi — 28.

Na taki stan rzeczy rzutuje bardzo nierównomierne rozmieszczenie kadry: im dalej od Białegostoku, tym gorzej. W stolicy województwa są wszystkie poradnie specjalistyczne i trzynastu prowadzi ZOZ nad Matką, Dzieckiem i Młodzieżą, za to odczuwa się znaczny niedostatek łóżek szpitalnych dla najmłodszych.

Ogromnym utrudnieniem jest brak nie tylko w województwie białostockim, ale i w ogóle w regionie, sanatoriów dziecięcych. Stąd też w ciągu ostatniego roku z

tey bardzo potrzebnej formy rekonwalescencji skorzystało zaledwie 274 najmłodszych.

Kiedy po ukończeniu studiów medycznych w Warszawie lekarz Franciszek Taraszkiewicz zastanawiał się nad wyborem miejsca pracy, poradził mu, aby pojechał na Białostocczyznę, gdzie będzie bardzo potrzebny, a poza tym tam pracuje wspaniały człowiek, dr Irena Białówna, od której może się wiele nauczyć.

Nauczył się przede wszystkim pediatrii społecznej. Dziś doc. Taraszkiewicz jest wszędzie tam, gdzie robi się coś na rzecz dziecka i matki. Pełni funkcję wiceprezesa wojewódzkiego Zarządu Wojewódzkiego TPD, wybranego do Rady do Spraw Rodziny. Szczególnie bliskie są

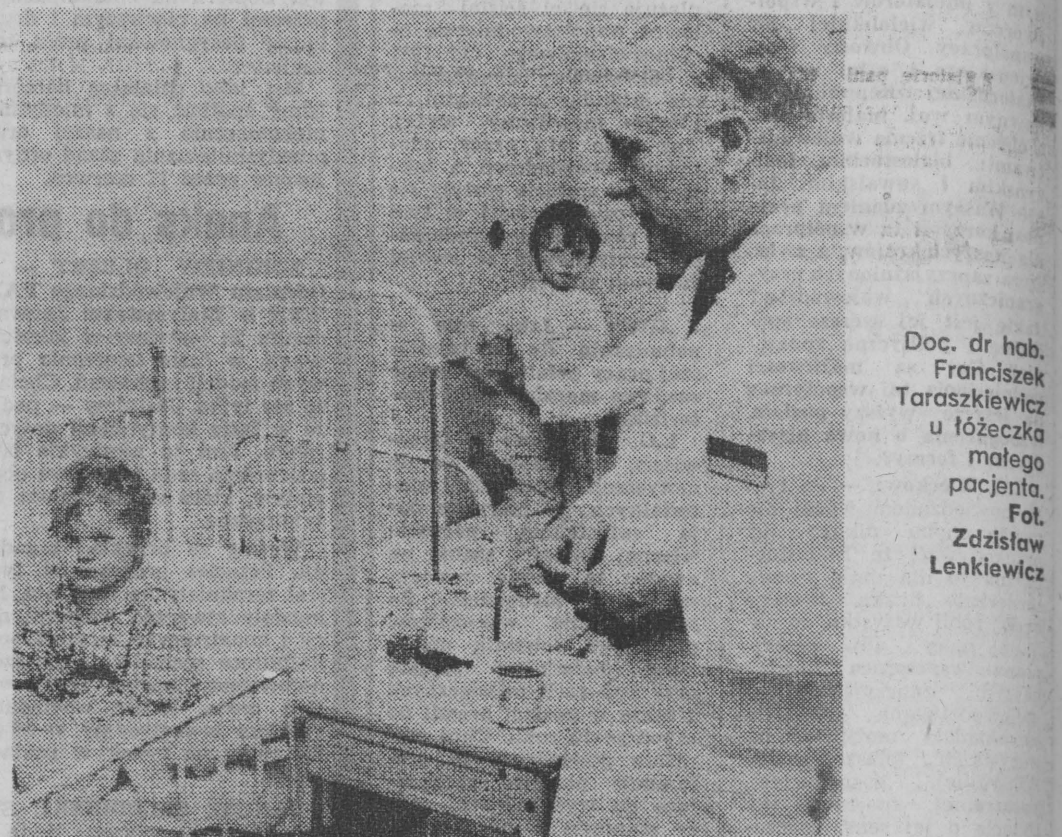
mu sprawy dzieci wiejskich, sam zresztą z tego środowiska pochodzi. Problemy pediatrii społecznej przekazuje też studentom podczas wykładów i seminariów w Akademii Medycznej i lekarzom na kursach Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego.

Ma doc. Taraszkiewicz tytuł Zasłużonego Lekarza PRL, wysokie odznaczenia państwowe z Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, liczne odznaczenia bojowe (jako żołnierz w I Dywizji im. T. Kościuszki przemierzył szlak od Warszawy do Kołobrzegu). Ale bardzo sobie ceni skromną odznakę Przyjaciela Dziecka. Taką zbiorową odznakę otrzymał także TPD całego Specjalistycznego ZOZ nad Matką, Dzie-

ckiem i Młodzieżą, placówce, która w oczach Głównej Inspekcji Terenowej zasłużyła na specjalne wyróżnienie. Pracuje tu wielu specjalistów, jak choćby dr Zdzisław Suszczyński — kierownik Wojewódzkiej Przychodni Specjalistycznej, kardiolog dziecięcy dr Danuta Borowska, dr Tadeusz Fedyk — kierownik Wojewódzkiej Przychodni Medycyny Szkolnej.

Szczególne jest zaangażowanie personelu Specjalistycznego ZOZ-u w organizowanie TPD-owskich kolonii zdrowotnych dla dzieci z grup dyspanseryjnych. To turnusy wyrabiają u najmłodszych potrzebę nawyków poszanowania własnego zdrowia, uczą przezwyciężania dolegliwości i życia w społeczeństwie.

ANIELA ŁABANOW



Doc. dr hab. Franciszek Taraszkiewicz u łóżeczka małego pacjenta. Fot. Zdzisław Lenkiewicz

Echa publikacji

Wykop!

Nie ukrywamy, iż szeroki odzew, z jakim spotkał się reportaż pt. „Wykop” opublikowany w „GW” z datą 14-15 kwietnia br., bardzo nas ucieszył. Było sporo komentarzy, otrzymaliśmy trochę listów i telefonów od Czytelników. Czekaliśmy jednakże na reakcję niezwykle dla nas ważną, mianowicie pismo od Białostockiego Kombinate Budowlanego. Nareszcie nadeszło. Jest to list datowany 15 maja (czyli w miesiąc po publikacji).

Autor (autorzy)? — pismo podpisane jest przez dyrektora BKB — inż. Eugeniusza Grygorczuka — żyjący sobie, aby zamieścić pełny tekst „wyjaśnienia i przedstawienia poglądu na artykuł pt. „Wykop”. Niniejszym prośbę spełniamy.

„Artykuł zawiera szereg niedociętości, stwierdzeń i sugestii — wymagających dodatkowych wyjaśnień, uściśleń i sprostowań. Chcielibyśmy biorąc pod uwagę historię Zielonego Wzgórza.

W artykule czytamy: „Gdy inwestor, a więc spółdzielnia „Stożeczny Stok” zaczęła mocniej naciśkać Kombinat, kolejnym zarządzeniem przekazano zadania na Zielonym Wzgórzu Stepanczence. Kierownik i Prezes Spółdzielni upierała się, że gąbny nie ta huśtanka zaradczą, już dziś byłoby tam posadowione biu-

Coż jednak warto jest to upieranie się” skoro umowę na budowę części osiedla Zielone Wzgórze podpisał dopiero 23 marca 1981 r., pozwolenie na budowę uzyskał 24 marca, a nieco tylko wcześniej, bo 24 lutego br. przyjęto od inwestora plan budowy.

Czy wobec tych faktów — można mówić o jakichkolwiek „zaprzeczonych możliwościach” i to przez Kombinat?

Żadnym stanowisku takiej samodzielności, aby nie organizowały w ramach przysposobienia, i jeszcze jedno. Miał już czas realizacji zadania z wszelką ceną. Dlatego ocenę pracy kierownika — nie można ograniczać tylko do ilości wybudowanych i przekazanych obiektów oraz do czasu zrealizowania obiektu.

Niemniej bowiem ważne w ocenie są również warunki, w których budowy są wznoszone oraz cały szereg innych elementów, w tym i stopień przestrzegania strony formalno-prawnej. Artykuł zastanawia się „jak zatem rozumieć powołanie Stepanczence w lutym br. (na miesiąc przed decyzją dyscyplinarną) kierownika także budowy Zielonego Wzgórza. To przecież awans!”

Odpowiedź jest bardzo prosta. To żaden awans, a tylko uznanie propozycji AL Stepanczence, aby w ten sposób uzupełnić kadrę, nie sadząc o jednostkach A i A1 osiedla „Stożeczny Stok”.

W zakończeniu artykułu autorzy przytaczają wypowiedź Aleksandra Stepanczence: „Nby od 23 marca nie powinienem nie robić, a ludzie przysięgli datem robotę”.

No cóż, bardzo dobrze — powiada czytelnik. A w rzeczywistości? AL Stepanczence, nawet w czasie pełnienia funkcji kierownika grupy robot, nie miał uprawnień do bezpośredniego przydzielania robot poszczególnym pracownikom. Wszak realizował zadania wyłącznie poprzez samodzielną kierowniczką budowy. I oni tylko uprawnień byli i są do samodzielnego decydowania w tych sprawach. Takie są zasady organizacji pracy i nie są to tylko wymogi formalne.

Obecnie kończy się przekazywanie kierownictwa grupy robot na osiedlu „Stożeczny Stok” nowemu kierownikowi inż. Janowi Ousiejko. Roboty budowlane są równo na „Stożecznym Stoku” jak i na „Zielonym Wzgórzu”. Jedną wykonuje tymczasem, jednak pełne nadobrobie zalet, pozostałych w następstwie samowolnych decyzji poprzedniego kierownika, zmieniających ustalona

kolejność poszczególnych robot i zaskakujących rytmie przekazywania zadań — możliwe będzie nie uczęszczać nie do koła i półkoła br. Były kierownik AL Stepanczence otrzymał i odrzucił kolejną propozycję pracy, tym razem na stanowisku kierownika budowy”.

Przytoczyliśmy w całości pismo, z zachowaniem autentycznej pisowni i stylizacji. Odpis tekstu otrzymaliśmy KW i KM PZPR w Białymstoku oraz KZ w Kombinacie.

Cóż napisać w odpowiedzi? Chyba po kolei. Więc po pierwsze — czytamy o niedociętościach w publikacji.

Zgoda — nie wszystko co wiemy, opublikowaliśmy. W dużej części nadrobimy to później.

Kolejny fakt, iż umowy o pracę na Zielonym Wzgórzu podpisał w marcu (dziesiąta zresztą zbieżność 23 marca br. to dzień podpisania umowy na budowę i zarazem dzień zwolnienia A. Stepanczence, ale pozostawiamy to bez komentarza, może przypadek).

Co zaś do „upierania się” w sprawie opóźnienia na Zielonym Wzgórzu, to pogląd nasz jest taki — nie zrobiono wszystkiego, aby wykorzystać czas. I nie zrobił tego właśnie Kombinat (powodów domniemywać nie będziemy), zaś „upierali” (także inwestor) nie miałyby nie przeciwko budowaniu mieszkań szybciej. Mówi się, iż gra się tak, jak przeciwnik pozwala. Warunki, które przecież tworzą w jakimś stopniu obie strony, pozwoliły na załatwienie formalności właśnie dopiero

wczesną wiosną tego roku. Jeżeli dyrektor zechciałby wyjaśnić, co za siły stały w tym, żeby uniemożliwić BKB i Spółdzielni rozpoczęcie wykopów (nie — wykopów) na Zielonym Wzgórzu jesienią ubiegłego roku, byłibyśmy wdzięczni, bo wreszcie okazałoby się, dlaczego nie udało się nam budować mieszkań szybciej. My zaś takiego, owego, wiecie... tego...

Ale bez kpiny. W reportażu chodziło nam w pewnym sensie i o to, że przepisy formalne, to nie jest pewnik Euklidesa. Można je a nawet trzeba zmieniać, gdy nie nasuwa już do czasów. Nie oszukujmy się — samodzielnie (co pismo podkreśla) przedsiębiorstwo może, słowo damy, podpisać umowę wcześniej, istnieje pojęcie aneksu do wcześniejszej umowy, istnieje samorząd w przedsiębiorstwie i rada w spółdzielni. Można szukać — i to jest właśnie zadanie kierownictwa przedsiębiorstwa. Nie sądzimy, aby istniał dylemat „nos dla zabakiery” czy na odwrót. Zarząd BKB ma chyba właśnie stwarzać warunki do sprawnego działania kierownictwa grup robot, a więc już na etapie planowania pracy rocznej w Kombinacie można zacząć myśleć o tym, gdzie da się zrobić więcej. Zresztą — co tu gadać, mówimy do fachowców...

Zaś „przekazywanie formalnych progów” — czytamy o „samowolnym zmienianiu” — Jest pytanie: samowolnych — wobec kogo? Przecież tak

Uprzejma panienka przysługuje zgłoszenia... Spyta lakiego koloru pragnę aparat, ile aparatów i czy dla żony akurat ma być typu „Książniczka” z podświetlaną tarczą.

O dniu dzisiejszym i przyszłości suwalskiej telekomunikacji rozmawiamy z zastępcą dyrektora Wojewódzkiego Urzędu Telekomunikacji w Elku — TADEUSZEM SZEWIELENKO.

Zacznijmy od cytatu. W swojej książce „Nowy Jork, Nowy Jork” jeden z bardziej znanych polskich publicystów Jan Zakrzewski stwierdził: „Aby założyć telefon, nie potrzeba podać. Wystarczy z budki telefonicznej albo od znajomego sąsiada zadzwonić do dzielnicyowego biura przedsiębiorstwa. Uprzejma panienka przysługuje zgłoszenia (...). Spyta lakiego koloru pragnę aparat, ile aparatów, czy w kuchni także i czy dla żony akurat ma być typu „Książniczka” z podświetlaną tarczą”.

Panie dyrektorze, czy doczekamy się czasów, gdy przeciętny mieszkaniec w Suwałkach będzie mógł bez problemów założyć w domu telefon? Widzę, że się pan uśmiecha.

T. Sz. Bo jeśli w takim tempie będziemy budować centrale, to biorąc pod uwagę opóźnienia jest na to szansa za 15–20 lat. Chyba, że zdecydowanie zmieni się wysokość nakładów finansowych.

Muszę stwierdzić, że mnie pan nie rozczarował.

T. Sz. Jestem po prostu realistą. Potrzeby, a przede wszystkim „siła przebicia” dużych ośrodków jest znacznie większa niż nasza. Dlatego nieprędko powstanie w suwalskiej sytuacji, kiedy na tele-

fon nie trzeba będzie czekać niczym na mieszkanie.

Pamiętam okres — w latach 50-tych — kiedy to my namawialiśmy ludzi, instalowali nawet aparaty za darmo. No, ale nie było takiego trendu na telefony.

To wprost nie do wiary.

T. Sz. Teraz wbrew mojej dyrektorskiej logice muszę mówić „nie”. Ubiegający się zaś o telefon mają rację wyciągając argument, że w erze sputników nie może on być luksusem.

Czy w ogóle robi się coś, aby tak właśnie się stało? Przecież nasycenie telefonami na 100 mieszkańców wynosi w suwalskim zaledwie: w mieście 7,6, a na wsi ok. 2.

T. Sz. W Giżycku, Augustowie i Piszku rozbudowa centrali przyniosła zaspokojenie najpilniejszych potrzeb. Okres oczekiwania nie jest tam długi — 2–3 lata.

Mimo wszystko to jednak spore.

T. Sz. Bo gdy gdziekolwiek, cokolwiek rozbudujemy, zaraz następuje lawina nowych wniosków i znów brakuje numerów.

Wystarczy wyprzedzić po-
pyt.

T. Sz. To nie takie łatwe.

Główną barierą jest bowiem budowa nowych obiektów, ale ostatnio coś się na naszym terenie ruszyło. Ministerstwo posiada kredyty na inwestycje. Wiele zależy więc od pomocy władz poszczególnych miast. Na skutek tego wład-

aparatów na 100 mieszkańców. Na początek przewidujemy udanie 7 tys. numerów. Tymczasem powinno to wystarczyć.

Od początków powstania Suwalskiego, zachodnią część województwa z jego stolicą łączył prowizoryczny kabel. Zil-

T. Sz. Kłopot stworzenia szybkiej łączności w Suwałskim wynika z faktu, że powstało ono z dwóch odrębnych regionów — olsztyńskiego i białostockiego. Do dzisiaj połączenie Suwałk z Górzem, Giżyckiem czy Piszem jest poważnie utrudnione. Eliminacja tego może nastąpić po automatyzacji „ruchu” wewnątrzwojewódzkiego.

Przydałoby się kierunkowe połączenie Suwałk przynajmniej z Elkiem i Giżyckiem.

T. Sz. Z pełnym programem automatyzacji gmin i terenów wiejskich chyba nie uporamamy się do roku 2000.

Wróćmy do wspomnianej książki. Jan Zakrzewski napisał w innym miejscu: „Gdy zepsuł mi się telefon, był czynny po dwu godzinach od chwili zgłoszenia, a następnie kierownik biura reperacji zadzwonił z przeproszeniem, że tak długo trwało, ponieważ akurat wszystkie wozy reperacyjne były zajęte”.

T. Sz. I my przepraszamy. Naprawy trwają długo tylko wtedy, gdy przecięte są kable. Najczęściej jest to wina ciężkiego sprzętu używanego w miastach do robót ziemnych. Niestety, kary za uszkodzenia są niewspółmierne do kosztów. W pozostałych przypadkach awarie usuwamy w ciągu kilku dni.

To też długo.

T. Sz. Brakuje monterów o odpowiednich kwalifikacjach. Wielu odeszło na wcześniejsze emerytury, zatrudnianie spoza województwa uniemożliwia niedostatek mieszkań, płace zarówno monterów jak i inżynierów są niskie, a praca ciężka, często w złych warunkach atmosferycznych.

Młodzi, którzy do nas przychodzą często są niedoszkoleni, a telefon — nie łopata, jest coraz nowocześniejszy — wymaga myślenia. Ostatnio stosowanym pośrednikiem jest zatrudnianie w ramach zastępczej służby. Ale to nie są fachowcy.

Tak narzekać potrafi niejedynemu szef przedsiębiorstwa.

T. Sz. Myśląc o przyszłości uruchomiliśmy przy Zespole Szkół Technicznych w Suwałkach i Technikum Mechaniczno-Elektrycznym w Elku po jednej klasie szkoły zasadni-

czej łącząc, że tym sposobem zdołamy kadry techniczne. Są to pierwsze szkoły w naszym województwie.

Czy pod względem ilości telefonów Suwałskie znacznie odbiega od innych rejonów kraju?

T. Sz. Nasycenie telefonami wynosi u nas ok. 5, średnia krajowa natomiast ponad 8. Niestety, wśród krajów demokracji ludowej, Polska jest pod względem telefonizacji na szarym końcu. Nie mówiąc już o takiej Szwecji, gdzie przypada 112 aparatów na 100 obywateli.

Tyle ostatnio mówi się o światłowodach. Czy nie należy upatrywać w nich ratunku również dla nas?

T. Sz. To przyszłość telefonizacji w dużych aglomeracjach. Cholernie oszczędza ilość kabli. Anglije doбили się 9.600 łączy na jednym światłowodzie. W Polsce pracuje w Lublinie próba linia o 30 łączach. To kosztowna i odległa przyszłość. Nie przewiduję także, aby istniała potrzeba instalowania ich w terenie i miastach wielkości Suwałk.

Z rozmowy naszej nie wynika obraz nadzbyt optymistyczny, lecz nie można też mówić o czarnych barwach suwalskiej telekomunikacji...

T. Sz. Potrzeby mieszkańców są od dawna znane. Telekomunikacja nie była hubionem dzieckiem, a ograniczenia inwestycyjne robiły swoje. Ostatnio jednak — pragnę to podkreślić — raz jeszcze zaczyna się coś zmieniać.

Rozmawiał: JAROSŁAW NOWAKOWSKI

KLUB POD PARAGRAFEM

Ramiona skulone w bezradnym geście, zatrwożone oczy, twarz bez śladu żywego, otwartego uśmiechu, który znali wszyscy pracownicy biura. Była dobrą duszą, człowiekiem, jak się to mówi, kryształowo uczciwym. Dziś, w wiele lat po pożegnaniu jej na emeryturę życzeniami zdrowia i pogody ducha, wygląda jak przebrana mysz, której zakleiono nore.

Historię pani Stanisławy opisałam w reportażu pt. „Dawaj matko, dawaj!” (XI ub.r.). Wówczas sytuacja nie była jeszcze tak dramatyczna, a i zainteresowana ciagle jesz-

ze ludzi się nadzieja, że coś się w jej życiu zmieni na lepsze. Po świętach Bożego Narodzenia mówiła: — Syn jakby się uspokoił, nie pracuje wprawdzie, ale i nie pije. Wzrostł gar kasy ze skwarkami, posprzątał. Mówi, że szuka roboty, to może zmadrał? Przecież ja nie od tego, żeby mi pomóc, gdyby zaczął żyć jak człowiek. Nawet bym dodała do tego, co już mi z domu wywlokł na wodzie i „panienki”. Ale niech mnie od siebie uwolni, zacznie żyć na własny rachunek, a nie kosztami innych. Choć ja nie od tego, żeby mi tak wszystko przebiegało na niego, do ziemi nie zabiorę.

Snuje te swoja opowieść bez poczeka i końca, nie dając się porwać do żaden inny temat: — Wracam do domu i nigdy nie wiem, co zastanę. Z reguły to jest smród, bród i co tylko. Powymosił już co się dało: i żelazko, i bułki, i ciasto, i kawy, i sódnicę, sukienkę, obrus, talerz, szklanki, nawet prezenty, które kupiłam dla siostrzeńców.

Wracam do domu i nigdy nie wiem, co zastanę. Z reguły to jest smród, bród i co tylko. Powymosił już co się dało: i żelazko, i bułki, i ciasto, i kawy, i sódnicę, sukienkę, obrus, talerz, szklanki, nawet prezenty, które kupiłam dla siostrzeńców.

liczne na budowie kontrole powinny zauważyć, że to i owo — że dla przyspieszenia całości tej roboty trzeba przyspieszyć, a inną opóźnić. Można spytać o to prezesów spółdzielni, a więc osób reprezentujących interesy członków, czyli społeczne... Tego nie zrobiono, a sprawy zaczęły się rozgrywać na płaszczyźnie ambicjonalnej. Te ambicje miały się do udręki ludzi czekających na mieszkania (także pracowników BKB) jak... nie przyspieszamy...

„Kombinat — czytamy — aby nie dopuścić do niewykonania planu przegrupowywał i dopasowywał środki do sytuacji w kierownictwie robot”. Chyba trochę późno, bo powinien był to zrobić wtedy, gdy zaistniały określone potrzeby na budowie, a nie w czasie, gdy kierownik postawił krok w przód.

Co zaś do stylu pracy A. Stepanczaka. Stał się „nie do przyjęcia” (jeżeli przyjąć określenia z cytowanego pisma) nie 22 marca wieczorem, przed końcem GIT. Ba, w rozmowie z dyrektorem usłyszałem, iż Stepanczak u partii się i nie chciał iść na szkolenie z zakresu montażu wielkiej piły. W tej sytuacji wypada już teraz wspomnieć prawie 10 tysiącami mieszkańców osiedla „Słoneczny Stok” i paru tysiącami innych, że ich mieszkania stawiał „niefachowiec”, który zgresał montuje wielką piłę lat dwadzieścia-

— Złotyła Pani wniosek o ukaranie syna za kradzież rzeczy z domu w Prokuraturze Rejonowej w Łomży. Wzwał na jakieś rozmowy? — Nie, od października, kiedy zdecydowałam się na zamieszczenie tej skargi, nie się nie działo. Może by tam jeszcze raz pójść? Do Komendy jak przyjdzie, to mówią: „Dzielnicyowego nie ma, radiowozu nie ma. Niech Pani przyjdzie jutro.” No to chodzę i nie to nie daje. Ostatnio zaczął mi w domu orle całe urządzać. Kupił takich jak on naspro- wadza i popija jakiegoś świni- stwa. Chyba plyn do mycia szyb w autobusach (mam oryginalne opakowanie), zmieszany z alkoholem. Wypija i siedzą nieprzytomnie, aż padną. Jak nieżywi. — Chyba jak pijani? — Przecież mówię: padają bez życia. Jakby pomdlił, albo przytomność postracił. Można by ich wtedy w pecku powiazać i na gnoj wynieść. Gdzieś po pięciu godzinach im odchodził, to podnoszą się i rzytwet. Naprawdę, by się coś? Jak przytomnieja, by się coś? Jak przytomnieja,

— Raz przyjechali: zatrzymali na dzień mojego, reszta się rozszalała. A teraz już, kiedy zgłaszałam, to i przyjeżdżają nie chcą, choć komenda niedaleko, na tej samej ulicy. „He mogłimy, tyle zrobiliśmy — mówią. — To wszystko za mało, żeby go zamknąć”. A mieszkanka i pracy przecież mu nie załatwimy. Wzięła Pani mola, to musi go trzymać”. A czy ja go brałam? Sam wrócił — wcale go nie chciałam. Ale jak mam się przed nim obronić? Zgody na zamel-

— F.S. Dane personalne zainteresowania znane są i w Prokuraturze, i w WUSW, gdzie interweniowałam o sobiście, powołując się na publiczne wygłoszone opinie przedstawicieli Sądu Wojewódzkiego, Prokuratury Wojewódzkiej i WUSW w Łomży (dyskusja redakcyjna opublikowana 12 stycznia br.), potwierdzając, że prawo dysponuje całym arsenalem środków, które pozwalają osobie uwięzionej w konflikt rodzinny odzyskać poczucie bezpieczeństwa. Ostatnio do Prokuratury Wojewódzkiej i WUSW skierowana została prośba o ocenę skuteczności stosowania tych metod w praktyce. O ustaleniach — poinformujemy czytelników. N.O.

nie pracy. On po prostu nie jest przekonany, co do moralnej wartości dezyzji i wątpliwości, czy kiedykolwiek się przekonają, czy zacznie ja (czy potrafi?) analizować wyłączenie jako działanie służbowe, a nie oparte na przesłankach osobistych. Bo po prostu czegoś bardzo ważnego nie zrobiono. Pismo zaś jakby nie dostrzegło tej najistotniejszej sprawy.

Traktuje się jego postawę, jako wyjątkową złościwość osobistą. A może on tylko nie umiał inaczej działać?

Nie zapisał sobie do sukcesów tej sprawy (w jej aspekcie ludzkim) organizację społeczno-polityczną w zakładzie?

I nie kłómy się o to, czy Stepanczak miał prawo, czy nie — powiedzieli, że „przyszli ludzie, więc dalem robotę” w chwili, gdy już kierownikiem nie był. Choć to było, by przeciwko do obrony (wszak kierownik podległy Stepanczakowi to też człowiek, a „dane roboty” wcale nie musiało polegać na nakazie posprzątnięcia).

Ponoć pozostało na budowie „Słonecznego Stoku” wiele śladów po „samowolnych decyzjach poprzedniego kierownika”, zakłócających rytm pracy. „Idziemy” na taką ocenę. Ale znamy też treść reszty, jaki znajduje się w zarządzie Spółdzielni, gdzie przy każdym bloku obok właśnie bardzo formalnych

WIATROŁOMY



Są w lasach takie miejsca, gdzie nie rosną drzewa. Nie spotyka się tu grzybow, jagód, niczego co by mogło przyciągnąć ludzi. Piaszki równiny, pełne wykotów, sterczących w niebo korzeni, butwiejących pni. Stare wiatrołomy.

Dawno już pocięto i wywieziono nadające się do użytku pnie zwalonych drzew i tylko czasem zawita tu chłopaka furmanka, by zapamiętać się gąszczami i czym prędzej odjechać...

Tekst i fot. ANATOL CHOMICZ



KRONIKI PRZEDMIĘCIA

Chyba niewielu już zostało tych starych białostockich taksówkarzy — zastanawia się pan Paweł Hryniewicz (nie, to nie rodzina) — a było przecież w 1937 r. gdzieś 30 lub 32 taksówki. Do 1939 r. ilość ta wzrosła do 40. Wiem, że żyją jeszcze i mieszkają w Białymstoku: Stanisław i Kazimierz Stojakowski, Bronisław Dzienis, Ja, Dec — imienia już nie pamiętam no i Zbyszek Hryniewicz ten, co to jeżdżał jedynym w mieście fiatem-landolęta, czyli samochodem specjalnie zbudowanym dla celów zarobkowego przewożenia pasażerów.

I snuje się opowieści o przedwojennych „salaciarzach” bo tak właśnie taksówkarzy w naszym mieście nazywano, którzy nie- stety, przegrzali konkurencję z dorozkaczami. Tych ostatnich było ponad setka a wyprawy taniószy przewozić. Kurs po mieście dorozka kosztował jeden złoty, a taksówką z Rynku Kościuszki na dworzec 2,40 a w nocy 3,20.

Stali więc całymi godzinami na central-

zku, zbuntowali się więc taksówkarze. Wy- montowali liczniki i wywalczyli prawo „jazdy na umowę” z tym, że cena za jeden kilometr nie przekraczała 50 groszy. Wtedy to ustalono także zryczałtowany podatek — 30 zł miesięcznie od jednej taksówki.

Właściciele taksówek jeździli w dzień a ich pracownicy (zmiennicy) w nocy. W nocy także nie było ruchu. Zdarzył się ktoś, kto spieszył na pogód albo rozbawiony późną libacją officer, którego trzeba było zanieść na Nowe Miasto do 10 pułku Ułanów Litewskich. Byli też czasami nocni pasażerowie, którzy po zamknięciu restauracji „Gastronomia” (nad dzisiejszą „Astorią”), „Aktarium” (nad dzisiejszym Klubem MPiK — wejście od Rynku Kościuszki) lub mieszczących się w tym samym budynku Resursy Obywatelskiej (Klub Ziel- nian, do którego uchodziło się od ul. Żydowskiej dziś ul. M. Fornalskiej) — jecha- li na dalszą hulankę do „Parku Rozkosz” pod Ignatkami, gdzie bawili się do rana.

Salaciarski żywot

nym postoju od ul. Sienkiewicza do Ko- ściola Farnego lub na dworcu. Na postoju przy hotelu Ritz nie było w ogóle ruchu. Czasami nawet przez cały dzień początku nie mieli.

Tu, na Rynku Kościuszki koncentrowa- to się życie, a i do stacji benzynowej był tylko jeden krok. Po przeciętej, od po- stoju, stronie ulicy, obok dzisiejszego Pań- stwowego Domu Dziecka nr 1 — stacja firmy „Polmin” a obok skwerku, w pobli- zu fontanny, sąsiadujące ze sobą dystry- butory trzech firm: „Bracia Nobel w Pol- sce”, „Drago” i „Karpaty”. Wszystkie sta- cje czynne były całą dobę a cena benzy- ny w zależności od wysokości oktanowej od 57 do 60 groszy za litr.

Najruchliwsze dni tygodnia to ponie- dzialki, kiedy to handlarze jeździli na tar- gi do Brzostowicy i Rutek, handlarze ko- ramami do Krynek a drzewem do Wal- No i piątki, kiedy to żydowskie rodziny wyjeżdżały na „dace” do Wasilkowa, Su- praśla, Ogrodnicek lub Ignatek.

W piątki na postoju odbywały się takie lub podobne rozmowy: — Pan sofer! Pan pojedzie do Ignat- ków? — Ile osób? — Zaraz pana potwim — tu wylicza na palcach.

— Tate, mame, mąż i ja, dziwke (służ- ca) Rifke, pan z przeciekę, stróż i już. Kiedyś były taksometry, ale urzędnicy skarbowi odczytując z nich ilość przeje- chanych kilometrów, wymierzali bezłoś- nie podatki. Choć nie mieli swego zwa-

Na żadnym postoju nie było telefonów ale taksówkę można było przywołać tele- fonicznie. Wystarczyło zadzwonić do szat- ni restauracji „Gastronomia”. W takich wypadkach szatniarz otwierał okno i wołał z pierwszego piętra stojącego na czole kolejki, a częściej jednego z zaprzyjaźnio- nych taksówkarzy, informując go gdzie ma po pasażera pojechać.

Nawet nocą jeździło się dość bezpiecznie. W 1926 lub 27 r. zanotowano tylko jeden napad. Zamordowano wtedy taksówkarza Babula, ale chyba z zemsty a nie dla pie- niędzy, bo utargu miał przy sobie niewie- le.

Niebywałe tragiczny wypadek miał miejsce już po ostatniej wojnie. Uległ mu Jerzy Jurkowski — przed wojną właściciel trzech taksówek, który po wyzwoleniu ja- ko pierwszy pojawił się na postoju oferu- jąc swoje usługi pasażerom. Jadąc ulicą Lipową obok hoteli „Cristal” swoim zdo- bytym gdzieś starym „Adlerem” zdarzył się z jakimś samochodem. Nastąpił wy- buch, bo w taksówce zaczęły się drzewi a benzyna z uciekającego nad silnikiem roz- bitego baku zaczęła się palić i w mig ob- jąła płomieniem cały samochód. Jurkow- ski spłonął wraz ze swoją taksówką.

Dziś po Białymstoku krąży chyba ze sześćdziesiąt razy więcej taksówek niż przed wojną. Są to przeważnie fiaty i żu- dy, które z powodzeniem zastąpiły stare: duranty, chryslery, chevrolety i renówki.

EUGENIUSZ HRYNIEWICKI

Nasze rozmowy

Rybińskiego drukują wszędzie. Gości m.in. w „Zyciu Literackim”, „Przekroju”, „Kontrastach”, „Tygodniku Polskim”, „Krajoznawstwie”, „Kurierze Podlaskim”, no i oczywiście w „Gazecie Współczesnej”; są też felietony radiowe... Gdzie jeszcze Pan nie pisał?

do sklepu: — „Proszę pana, a pan jest w naszej książce. Mówiłem pani od polskiego, że pana znam. Ładnie to zrobili, ten kubek z poziomkami jest taki uroczy...”

Niezupełnie potrafiłem wtedy ukryć moje przegromy wzruszenie i... zdumienie, gdyż ani pani Maria Nagajowa, ani Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne nie pytały mnie o zgodę, a nawet nie powia-

liu najbardziej i są w wychowaniu tak znaczące...

Nikt nie posiada dzisiaj wątpliwości, że wartościowa książka jest elementem wychowania; dzięki niej dokonuje się wszechstronny rozwój dziecka, jego fantazji i wyobraźni, budzą się zainteresowania i kształtują uczucia. Wobec tego, jakimi cechami powinna odznaczać się książka dla dzieci? Określana mianem wartościowej? Utkiwili mi w pamięci słowa Francois Ruy-Vida'a, który walczył o wartościową książkę dla dzieci we Francji powiedział: „Dzieci to nasz kapitał; za 20–25 lat

stawię zrodziło się tak bezprecedensowe zjawisko w historii oświaty naszego kraju i w skali okupowanej Europy, jak tajne nauczanie. Ci sami nauczyciele wychowali te pokolenie dźwigające kraj ze zniszczeń wojennych...

Szczególną wartość posiadają książki bogate w opisy przyrody, przeuroczego polskiego krajobrazu, one najlepiej kształcą uczucia, przemawiają do wyobraźni, uczą poszanowania i miłoś-

Co chciałby Pan przekazać dzieciom w dniu ich święta?

Chciałbym im życzyć, aby tak postępowali, by w latach późniejszych mogli wspominać swoje dzieciństwo jako bezgranicznie szczęśliwe, i aby tak, jak to dzieciństwo, przeżyli całe swoje życie. Każde przeżycie i niedociągnięcie — zwłaszcza wobec Rodziców — w późniejszym wieku napawa przegromną gorczyzą; tego już nie da się odrobić.

Może to banalne, ale chciałbym teraz być z dziećmi, w ich wieku i zaczynać życie na nowo...

Czy jest jakieś pytanie, którego Panu nie zadalam, a powinienem to zrobić?

Tak. Co jest najpiękniejsze, a co najsmutniejsze na świecie? Najpiękniejsze — kwiaty i niewinne oczy dziecka; najsmutniejsze — i to zawsze — płacz dziecka i skowyt kopniętego szczeniaka, nie mogą się bronić...

Gdyby w Dniu Dziecka dzieci postanowiły uhonorować współtwórcę ich podręcznika upominkiem, co chciałby Pan otrzymać?

Właśnie podręcznik do klasy 4 z samymi wartościowymi cytatkami i wierszami — np. M. Konopnickiej, A. Asnyka, L. Staffa oraz... płyty z nagraniami wspaniałych polskich melodii — polonezów, kujaw, mazurów, o które coraz trudniej wśród zalewu nabywanych w postaci zagranicznych belkotu i skowytania...

Dziękuję za rozmowę.
Rozmawiała:
TERESA ZANIEWSKA



Wzrąca tym razem przedmiot naszej uwagi skromną wiejską chałupę, jakich w Białostoccu, Łomżyńskim i Suwalskim mamy jeszcze tysiące, choć mówi się o nich z zażyłością.

Chałupa wiejska — budowana „podług nieba i zwyczaju” wśród zabytków jest budowlą szczególną. Jest bowiem obiektem żywym, żyjącym powszechnością życia. A chociaż i inne, wspólne zabytkowe budowle bywają też użytkowane, to kulturowo i publicznie charakter ich przeznaczenia przydaje im wyjątkowej, odświętnej atmosfery. Chałupy natomiast są zawsze narzędziem codziennego życia. Traktuje się je jak naczynia, odzienie, czy inne sprzęty. Mieszka w nich jeszcze wiele ludzi, którzy choć marzą o nowoczesnym domu z cegły, na ogół z szacunkiem odnoszą się do siedzących swoich przodków. Często te blisko wiekowe domy ratują od zniszczenia, choć ich działalność remontowa nie mieści się w żadnym planie władz konserwatorskich. Wszelki tu zresztą ekspert byłby zbyt cyniczny. Robota wykonywana jest tak, jak uczyni dziad i ojciec.

Niestety, niszczący wpływ czasu dokonuje swego. naturalnego zniszczenia, w wyniku którego z każdym rokiem zmniejsza się liczba nie tylko zresztą zabytkowych chałup, ale również innych obiektów architektury drewnianej.

W naszym, północno-wschodnim regionie spotkać można w zasadzie trzy zabytkowe formy chałup: podlaską, kurpiowską i mazurską, a ostatnio dopatrzyło się jeszcze stylu chałupy sokalskiej.

Ich architekturę przez całe wieki kształtowały lokalne warunki klimatyczne, materiałowe i społeczno-ogrodnicze. Wiele z nich posiada wspólne cechy i rozwiązania funkcjonalne, choć położone są daleko od siebie. Niektóre powstawały pod wpływem tradycji białoruskiej, litewskiej, niemieckiej i żydowskiej.

Ciekawą formę architektoniczną posiada chałupa podlaska, najszybciej wy-

Wzrąca tym razem przedmiot naszej uwagi skromną wiejską chałupę, jakich w Białostoccu, Łomżyńskim i Suwalskim mamy jeszcze tysiące, choć mówi się o nich z zażyłością.

Chałupa wiejska — budowana „podług nieba i zwyczaju” wśród zabytków jest budowlą szczególną. Jest bowiem obiektem żywym, żyjącym powszechnością życia. A chociaż i inne, wspólne zabytkowe budowle bywają też użytkowane, to kulturowo i publicznie charakter ich przeznaczenia przydaje im wyjątkowej, odświętnej atmosfery. Chałupy natomiast są zawsze narzędziem codziennego życia. Traktuje się je jak naczynia, odzienie, czy inne sprzęty. Mieszka w nich jeszcze wiele ludzi, którzy choć marzą o nowoczesnym domu z cegły, na ogół z szacunkiem odnoszą się do siedzących swoich przodków. Często te blisko wiekowe domy ratują od zniszczenia, choć ich działalność remontowa nie mieści się w żadnym planie władz konserwatorskich. Wszelki tu zresztą ekspert byłby zbyt cyniczny. Robota wykonywana jest tak, jak uczyni dziad i ojciec.

Niestety, niszczący wpływ czasu dokonuje swego. naturalnego zniszczenia, w wyniku którego z każdym rokiem zmniejsza się liczba nie tylko zresztą zabytkowych chałup, ale również innych obiektów architektury drewnianej.

W naszym, północno-wschodnim regionie spotkać można w zasadzie trzy zabytkowe formy chałup: podlaską, kurpiowską i mazurską, a ostatnio dopatrzyło się jeszcze stylu chałupy sokalskiej.

Ich architekturę przez całe wieki kształtowały lokalne warunki klimatyczne, materiałowe i społeczno-ogrodnicze. Wiele z nich posiada wspólne cechy i rozwiązania funkcjonalne, choć położone są daleko od siebie. Niektóre powstawały pod wpływem tradycji białoruskiej, litewskiej, niemieckiej i żydowskiej.

Ciekawą formę architektoniczną posiada chałupa podlaska, najszybciej wy-

są jednak inne. Są po prostu mazurskie. I pomimo, że niedługo powstawały w otoczeniu niemieckim, to jednak zachowały cechy polskiej architektury ludowej, cechy spotykane w chałupach podlaskich, mazowieckich i kurpiowskich.

Do najistotniejszych należą jednak chałupy kurpiowskie. Na wszystkich ich częściach, gdzie tylko jest możliwe, układane są lub wycinane ornamenty, które stanowią prawdziwy popis wrodzonych kurpiom talentów rzeźbiarskich. Przy tym robią to nie bez smaku artystycznego i nie bez uzasadnienia funkcjonalnego. Fryzy nad oknami, obramienia okienne i drzwiowe — misternie rzeźbione w drewnie przypominają sławne kurpiowskie wycinanki. O ile jednak sztuka papierowych wycinanek kurpiowskich nadal się rozwija, to niestety oryginalne zdobnictwo w społeczeństwie budownictwa na Kurpiach zanika, jak zresztą zanika budownictwo regionalne. I jest to uzasadnione, bo życie idzie naprzód. Trwa nieunikniony proces przebudowy wsi na mirowaną. Procesu tego nie byłoby sensu powstrzymywać. Tylko przy powstawaniu tysięcy wiejskich domów nie sposób nie zapytać, czy ta współczesna wieś musi być akurat tylko z betonu i cegły...

Realna natomiast możliwość zachowania obecnej części zabytkowych obiektów regionalnej architektury drewnianej jest gromadzić ich w skansenach. Chodzi o to, żeby te architektury ratować od zapomnienia. Jest ona na równi z monumentalnymi pałacami i dworami reliktem narodowej kultury i to w najbardziej autentycznej postaci.

Jutro, właśnie, 2 czerwca w Białymstoku staropolskim zwyciężymy odbędzie się „Zakładzin” Białostockiego Muzeum Wsi, czyli oficjalne rozpoczęcie budowy białostockiego skansenu. Po staropolsku więc temu przedsięwzięciu życzymy wszelkiej szczęśliwości.

Tekst i rysunek:
HENRYK WILK

Miedzy Brzechwą a Korczakiem „GW” rozmawia z Józefem Rybińskim



W „Misiu” i „Świerszczu”...

A mimo to pana nazwisko nie jest obce dzieciom. Natomiast nie wszyscy dorosli wiedzą z pewnością, iż podręcznik języka polskiego dla klasy 4 „Mowa ojczyzny”, opracowany przez Marię Nagajową, zawiera fragment Pana książki „Słońce na miedzy”, zatytułowany „Książka o zapachu poziołków”. Znalazł się Pan w dobrym sąsiedztwie — między Brzechwą a Korczakiem... Co Pan na to?

Przed wszystkim jestem dumny i wzruszony, że na moim tekście uczy się i wychowują dzieci. O tym zaszczytnym wyróżnieniu dowiedziałem się niedawno od... dziecka sąsiadów, które oświadczyło mi pewnego dnia towarzysząc w drodze

domiły o tym miłym dla mnie fakcie. Ponadto zamieszczony w podręczniku tekst różni się od książkowego wydania „Słońca na miedzy”. Szczególnie przykre wydaje mi się pominięcie nazwiska mojej urocznej nauczycielki pani Seweryny Autuchiewiczówny, która założyła szkolną biblioteczkę oraz pięknie nam czytała książki i opowieści — o lwie, którego uwolniła mała myszka, o Jacusiu, który znalazł kwiat paproci, a wraz z nim bogactwo i miłość do nie mógł swym bogactwem podzielić się z drugim, czy też o dobrej pani, która jadąc karetą rzuciła dzieciom pieniążki. Pominięto, niestety, to nazwisko — osoby, która znała dla mnie tak wiele; pominięto — a przecież zawsze wzory osobowe oddzia-

przejmą w swe ręce stery świata, jeśli więc wychowywany je na mierność, zbudują nam mierny świat”.

Wartościowa książka adresowana do młodego czytelnika powinna uczyć dobra, piękna i prawdy — nieprzypadkowo zestawione jeszcze przez Platona triady... Powinna też apelować do uczuć i uczyć miłości Ojczyzny, kształtować postawy patriotyczne. Takimi byli moi nauczyciele, którzy po ponad wiekowej niewoli wolną Ojczyznę widali promiennym uśmiechem, radością, pracą i umieli w nas zasześcić te wartości. Dzięki tym wspaniałym ludziom, światłym umysłom, dzięki ich patriotycznej po-

ci tego, co piękne, mądre i szlachetne. Dobro, piękno i prawda uwiecznione na kartach książek są w stanie zastąpić wszelkie opasłe kodeksy świata.

Czy zgadza / się Pan z twierdzeniem, że literatura dziecięca i młodzieżowa tworzą drogę młodego człowieka do wielkiej literatury?

Tak, ale tylko wtedy, gdy jest to literatura wartościowa i gdy dostarcza czytelnicych wzruszeń, kiedy dana książka zachwyca młodego czytelnika, pochłonię go do tego stopnia, że nie będzie wiedział co dzieje się wokół, czy też będzie czytał z latarką pod kołdrą lub przy... księżycu.

LSW — Czytelnikom

Od 30 maja br. w Białymstoku czynna jest wystawa dorobku Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, która liczy sobie 35 lat. Z tej okazji rozmawiam z jej prezesem i redaktorem naczelnym — LEONEM JANCZAKIEM.

— Czy Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza zapowiedziała prezentacji wiejskiego rynku zachowała dziś już tylko w nazwie?

— Wydawnictwo zostało powołane tuż po wojnie przez działaczy chłopskich po to, aby służyć masom ludowym. Główne hasło „o ludzi i dla ludzi” jest u nas ciągle aktualne. Jednym z głównych źródeł powodzenia LSW jest fakt, że staraliśmy się mieć ścisły związek ze środowiskiem wiejskim. Wyłansowaliśmy znakomitych autorów nurtu chłopskiego, pamiętnikarzy. Niemniej, ostatnio sięgnęliśmy do literatury robotniczej. Stąd już trzecia książka utalentowanego warszawskiego ślusza — Stanisława Dobiasza. Ogólnie ludzie pracy nas bardzo interesują.

Ludowe sentymenty

— Jak układa się współpraca między autorem i wydawcą. Wydawca zabiega o autora czy na odwrót?

— Z punktu widzenia wydawcy uznaję tę współpracę za korzystną. Ubolewam przy tym, że wielu tytułów nie jestesmy w stanie wydać. Czytam, że spora grupa młodych ludzi debiutowała i debituje właśnie w LSW. Wyłansowaliśmy znane dziś nazwiska Edwarda Redlińskiego, Juliana Kawalca i listy tej nie uważam za zamkniętą.

— Jak spółdzielnia reaguje na problem wojny o literaturę w księgarniach?

— Wszyscy wydawcy wiedzą, że książek jest mało. Ten kryzys na rynku wydawniczym rozpoczął się w 1978 r., a szczególnie katastrofalnie sytuacja wyglądała w 1981 r. Lekka poprawa zanotowaliśmy w 1983 r., bowiem w całym kraju wydano o 9 procent więcej książek, niż dwa lata wcześniej. W naszej spółdzielni ten wzrost sięgał 29 proc. i to jest nasza odpowiedź na książkowy głód. Ogółem wydaliśmy 3,5 mln egzemplarzy, ale choć nakłady nieco urosły, tytułów było mniej.

Tymczasem sytuacja na rynku bardzo się zmieniła. Parę lat temu nakład 40 tys. którejkolwiek z tomów Kraszewskiego był wystarczający. Dziś zamówienia z księgarni przekraczają kwotę miliona i gdybyśmy byli w stanie im sprostać to i tak cały nakład rozejdzie się w mig.

— Na które tytuły zapotrzebowanie jest największe?

— Głównie na klasykę. Właśnie na Kraszewskiego, Gasiorowskiego. Dzieła Kraszewskiego wydawane w serii „Dzieje Polski” błyskawicznie znikają z półek. Wyszli już 16 tom. Czytelnicy pytają nas o nie znawiane po wojnie „Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy” — tego samego autora.

— Czy na 35-lecie LSW macie jakieś szczególne plany? — Chcemy dać czytelnikowi bardzo cenne edycje. Wydadzimy w tym roku, w reprintsie, „Młode pokolenie chłopów” pod redakcją Józefa Chłasińskiego — zwane biblią polskiej lewicy. Wydamy 2-tomowy „Wybór pamiętników wiarzy i zetepowców”.

Będzie to również pretekst do wielu spotkań autorskich. Na Białostoccu przebywają właśnie Stanisław Dobiasz i Mirosław Prandota. Jest okazja również do organizowania wielu wystaw i popularizowania naszego dorobku.

— Jak układa się współpraca LSW ze środowiskiem białostockich pisarzy?

— Drukowaliśmy wspomnianego Edwarda Redlińskiego, białostockiego pisarza Sokrata Janowicza. U nas ukazało się „Naprawianie świata” Włodzimierza Pawluczaka. Współpracujemy z redakcją łomżyńskich „Kontaktów”. W tym roku wydajemy zbiór reportaży będących plonem jednej z edycji konkursu „Jagusia”.

Dziękuję za rozmowę.
Rozmawiała:
KRYSTYNA POLAKOWSKA

„ZIELONE MAZURECKI”

— bo tak po polsku brzmi nazwa elckiego, esperankiego zespołu dziecięcego, znane są nie tylko w Suwalskiem. Kilkudziesięciu uczniów z elckich szkół spotyka się niemal co dzień w Ognisku Pracy Pozaszkolnej, by pod muzyką opieką Anny Organisty i choreografa Ewy Bondar — rozwijać swe umiejętności teatralne, folklorystyczne, estradowe i wokalne. Zespół jest wizytówką miejscowego środowiska esperantystów i z tej racji wy-

na różnych kontynentach. W tym roku kongres odbędzie się w kanadyjskim mieście Vancouver. Za rok esperantystów gościć będą działacze z RFN, w 1986 r. — Pekin, a w 1987 r. — Polska; ponieważ w tym właśnie roku obchodzić się będzie 100-lecie esperanta.

Po powrocie z Budapesztu, w październiku ubiegłego roku, elckie dzieci zaliczyły Ogólnopolski Przegląd Esperankiego Ruchu Artystycznego „OPERA-83” i z dyplomem za czołowe miejsce powróciły

ku promieniuje ostatnio na tyle udanie na miejscową młodzież, że jak nas poinformował jeden z zagorzałych propagatorów języka w Elku — Waldemar Roszkowski, w klubie esperanto działającym przy MDK intensywniej rozwijają się dwa nowe zespoły młodzieżowe. Wokalny — prowadzony przez Janę Oleńską i teatralny — kierowany przez Monikę Bilnik. Ponadto Związek prowadzi co roku 70-godzinne kursy językowe. Od momentu zawiązania się jego pierwszych struktur or-

„Verdai Mazuretoi” podbijają świat

stepuje od roku na wszystkich ważniejszych krajowych imprezach organizowanych przez ludzi posługujących się językiem stworzonym przez Ludwika Zamenhofa.

Debiut elckich „Mazureczki” przypadł podczas ubiegłorocznych (stale organizowanych w czerwcu) Międzynarodowych Dni Bydgoszczy. Miesiąc później, „Verdai Mazuretoi” były jedną z atrakcji Międzynarodowego Miasteczka Dziecięcego. Potem, na przełomie lipca i sierpnia uczestniczyli w budapeszteńskim 68 Światowym Kongresie Esperantystów.

Ta doroczna impreza ma charakter zlotu i organizowana jest w różnych krajach i

w domowe pielesze. Jeszcze w grudniu dali występ w stolicy z okazji 124 rocznicy urodzin twórcy tego uniwersalnego języka i rozpoczęli przygotowania do tegorocznych występów. „Mazureczki” pokazują się m.in. na letnim ogólnopolskim forum esperantystów w Szczecinie. Wszystko też wskazuje, że zespół pojeździe do Dreżna i węgierskiego Szolnoku, bo z tymi właśnie ośrodkami elczanie nawiązali ostatnio współpracę. Opięknowie dziecięcej grupy — TPD, PZEsperanto, MDK i Urząd Miasta — sporo sobie po tych kontaktach obiecuje. Działalność oświatowa, rozwijana przez Zarząd Wojewódzki PZE (z siedzibą w El-

ganczyjnych na Ziemi Elckiej, tzn. od 1973 r. odbyło się osiem kursów I stopnia i jeden — II.

Dziś, w przeddzień wyboru delegata na zjazd krajowy PZE, elczanie czują się usatysfakcjonowani ponad 10-letnią działalnością. Stale bowiem przybywa w ich miejsce osób potrafiących posługiwać się esperantem i rosnie grono sympatyków. Dzięki bygoskiemu „Esperanto To-ur” rozwija się też turystyka. W tym roku sporo osób wyjeżdża do krajów europejskich, a kilku elczan weźmie udział w kongresie w Vancouver.

A. ŁOZOWSKI

Nakładem białostockiego Oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej wydana została niewielka książeczka pod intrygującym tytułem „Coraz więcej mamy wrogów”. Ta pozycja wydawca potwierdził przyjęty kierunek opieki i patronatu nad twórcami i ludźmi parającymi się piórem, zamieszkalymi w regionie. Napisał ją — a jest to zbiór siedmiu reportaży —

dziennik. Rzecz chyba pójdzie jak woda, bo opisuje ludzi, którym się w życiu udało. Najmniejszej przeżył w burzliwie, potem zbierał profity od zwycięstw, choćby w postaci wspomnień. I chociaż mikrofon to nie konfesionat a reporter nie spowiadnik, to jednak czytelnik odnieść może wrażenia, że w szerokości wynurzeń tkwi cała siła reportera. Utkwił mi szczególnie jeden z bohaterów

szę i wspomnienia, filantropia i zależe za przemianami. Siedem reportaży w tym wydaniu. I każdy z nich to nie tylko i nie tylko. O mieszańcu XVII-wiecznego wiatrak. „Przywieszony do wiatrak” to o człowieku, który nie chciał być dyktorem („Złote runo Henryka Rodzima”); o człowieku który lubił być dyktorem („Chcecie żebym grał na autie”).

Wszystkie reportaże wzbogacone zostały przez autora refleksją osobistą lub alegoryczną wizją zdarzeń — „szczęśliwy bitwy wykwita jak astrzy”.

KAW proponuje

Reporter nie spowiednik...

byli reporter białostockich „Kontrastów” Janusz Nicyporowicz. Napisał — jest to powiedziane trochę na wyrost. Sugeruje zatem, że autor miał klarowną koncepcję dzieła, siadł do maszyny i wystukał, na czym mu zależało.

Nicyporowicz po prostu zebrał kilka reportaży napisanych w różnych odstępach czasu, jakby z innej epoki, a tytułem jednego z nich — bardzo zresztą „handlowym” — opatrzył całość. Reszta w rękach Klientów, którzy księgarnie oddają dwa razy

narracji zarabający dziennie. Jeszcze przed wojną, po pięćdziesiąt złotych, bywał więc w nędzy, a sampan lat się tam codziennie. To był jego wielki świat... Oficjalnie jednak uchodził za bezrobotnego, a że był przy tym wrażliwy na krzywdę ludzka to nie tylko stał na czele delegacji bezrobotnych i robił krótkie wykłady staroście (białostockiemu) o szlachetności pracy, ale również nieraz dawał biedakom parę groszy na chleb, bo wiedział — z nim zaczął robić szampana w salonach Ritz — co to znaczy żyć tylko silnie.

Niemal wszyscy bohaterowie Nicyporowicza lubią podróżować. Losy życia ich po różnych kontynentach. Egzotyckie kraje, barwne przeżycia, powroty w bambo-

Sasiadują obok siebie Izak Babel i Iliada, Alvin Toffler („Kiedy pies usłyszy jakiś dźwięk odgłos, nastawia uszu i odwraca łeb. Ludzie postępują tak samo”), i sentencje zwane przysłowiami („homini lupus”). Słowem: ładunek emocji, wynurzeń i cytatów zawarty jest w drugiej już pozycji książkowej tego reportera.

JOTEM

Janusz Nicyporowicz — „Coraz więcej mamy wrogów” KAW Białystok 1983, nakład 15 tys., cena 55 zł.

Z listów do Redakcji

Wierna polskość

W „Gazecie Współczesnej” — magazyn z dnia 3–5 czerwca 1983 r. prze czytałem artykuł „Wierna polskość”, red. Henryka Wilka. Tematem artykułu była geneza i historia gimnazjum łacińskiego w moim rodzinnym mieście — w Elku.

Czuje się w obowiązku wyjaśnić pewne dobrze zapamiętane fakty dotyczące nauki języka polskiego w tymże gimnazjum. Uczestnicząc bowiem, choć tylko przez trzy miesiące, do tej szkoły w 1920 roku. Dużej do tej szkoły nie mogłem uczęszczać, gdyż w dniu plebiscytu moi rodzice oraz pięcioro rodzeństwa otrzymaliśmy, jako jedni z pierwszych Polaków na Mazurach, nakaz opuszczenia w ciągu 48 godzin granic ówczesnych Niemiec. Pozostali Polacy, bądź wyjechali w późniejszym terminie, bądź pozostali aż do wybuchu II wojny światowej.

Do wymienionego gimnazjum uczęszczał mój trzeci starsi bracia, dziś już nie żyjący. Brat Ryszard został zamordowany w Piaśnicy pod Wejherowem. Młodszy Winfried, Erik spalił się w samolocie w katastrofie lotniczej w Anglii w 1944 r., zaś najstarszy Otton, późniejszy pułkownik WP, zmarł w Australii w 1964 r. On to właśnie ukończył te szkoły w 1914 roku, przed Wielkanocą. Wiadomo bowiem, że rok szkolny w ówczesnych Niemczech kończył się przed Wielkanocą i matury odbywały się już w lutym lub marcu. Brat w tej szkole uczył się języka polskiego. Uczniowie, którzy zobowiązani byli zostać prawnikami bądź tłumaczami na terenie Wielkopolski mogli od klasy kwarty (obecnie pierwszej licealnej) uczęszczać dodatkowo na naukę języka polskiego. Wykładowcą języka polskiego był profesor Bedzio, względnie Bendzio, pochodzący z Wielkopolski. Za naukę języka polskiego uczeń otrzymywał nawet stypendium miesięczne wynoszące 12,50 marki, o czym w późniejszym okresie często wspominała moja matka. Także brat bywając w późniejszym okresie na czasach u rodziców i wspominając swoje młode lata spędzone w Elku, mówił jaki był dumny przynosząc to stypendium do domu. Nauka języka polskiego w tym gimnazjum trwała cztery lata. Należy podkreślić, że kwota 12,50 marki

nie była kwotą bagatelną, gdyż o ile sobie przypominam to czesne szkolne w ówczesnym gimnazjum na terenie Niemiec wynosiło 32,50 marki kwartalnie.

Profesor Bedzio, był to szczerzy wysoki pan z pince-nez na nosie i mieszkał w jednym z domów przy dzisiejszej ul. Moniuszki. Uczył języka polskiego jeszcze i po I wojnie światowej, lecz nie pamiętam, czy jeszcze uczył po Powstaniu Wielkopolskim. Oprócz języka polskiego uczył także geografii. Jako rodowity elczanin i Mazur z pradziadków nie chciałbym aby zaszła nieścisłość w historii tak pięknego miasta jakim jest Elk, ówczesna stolica Mazur. Sądzę, że rodowitych Polaków, elczan urodzonych przed pierwszą wojną światową jest już niewielu, być może jedynie dwie żyjące moje siostry i ja.

Pamiętam jeszcze targowisko na Hauptstrasse (obecnie Czerwonej Armii) dokąd chłopcy z okolic miasta zwoziły wozami produkty rolne i trudno było od nich na Mazurach, Gwara wywodzi się ze staropolskiego języka i tylko pewne części są zróżnicowane. Należy także podkreślić, że w każdą niedzielę do I wojny światowej w kościołach rzymskokatolickich jak i ewangelickich było jedno kazanie wygłaszane w języku polskim, co pamięta dobrze moja starsza siostra.

Będąc po długich latach nieobecności w Elku, zdziwiony byłem, że w ówczesnym gimnazjum, przez wielki szacunek na Mazurach nauki humanistyczne i polską kulturę umieszczono szkoły zawodowe, nie zachowując tradycji. A przecież było to jedyne gimnazjum, gdzie mieszkańcy ówczesnych Mazur poznawali naszą kulturę, literaturę itp. Również dyrektorem tego gimnazjum był przez długie lata Polak, o polskim nazwisku — Kalinowski, mówiący często z rodzicami uczniami po polsku.

ZYGFRYD ZIELIŃSKI
Gdynia

